

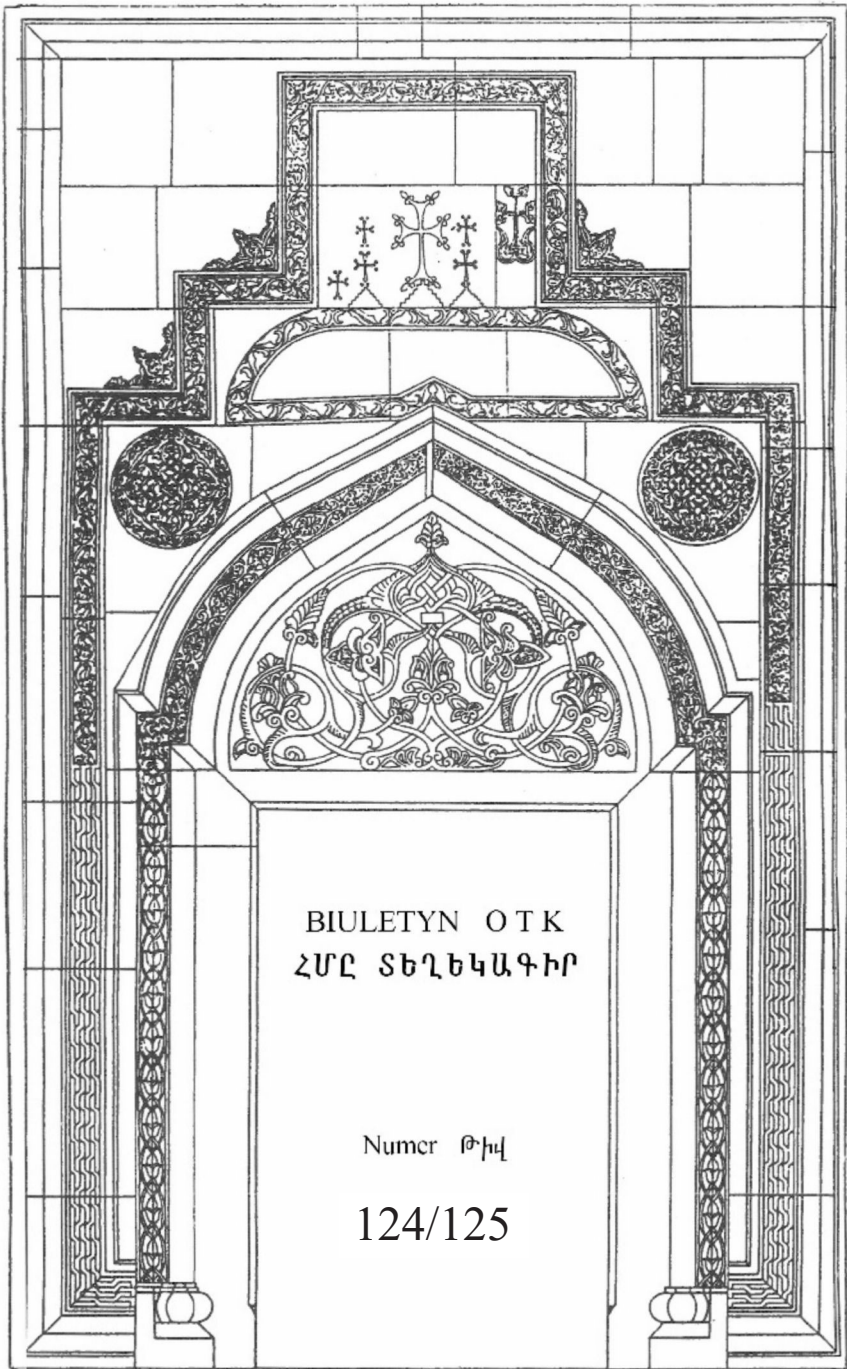
BIULETYN  
ORMIAŃSKIEGO  
TOWARZYSTWA  
KULTURALNEGO

ՀԱՅ ՄՇԱԿՈՒԹԱՅԻՆ  
ԸՆԿԵՐՈՒԹՅԱՆ  
ՏԵԶԵԿԱԳԻՐ

ISSN 1233-8605

NUMER 124/125 ԹԻԿ

KRAKÓW 2026 ԿՐԱԿՈՎ



BIULETYN O T K  
ՀՄԸ ՏԵՂԵԿԱԳԻՐ

Numer ԹԻԿ

124/125

## BIULETYN ORMIAŃSKIEGO TOWARZYSTWA KULTURALNEGO

ՀԱՅ ՄՇԱԿՈՒԹԱՅԻՆ ԸՆԿԵՐՈՒԹՅԱՆ ՏԵՂԵԿԱԳԻՐ

W Biuletynie są publikowane relacje, wspomnienia, opinie, opracowania naukowe i inne utwory dowolnej formy, których tematyka jest związana z historią, kulturą i współczesnymi problemami Ormian i Armenii.

**Copyright by Ormiańskie Towarzystwo Kulturalne – Kraków 2026**

**Copyright for this edition by Księgarnia Akademicka**

Materiałów zamieszczonych w Biuletynie OTK nie można w żadnej formie reprodukować bez pisemnej zgody Wydawcy.

**Kolegium Redakcyjne** dr Tomasz Krzyżowski (przewodniczący)  
prof. dr hab. Krzysztof Stopka  
prof. dr hab. Andrzej Pisowicz  
dr hab. Antoni Amirowicz  
dr hab. Andrzej A. Zięba  
dr Andrzej Gliński  
Kamil Gleń

**Adres** Ormiańskie Towarzystwo Kulturalne  
ul. Studencka 2, lokal 3a  
31–116 Kraków  
[www.otk.org.pl](http://www.otk.org.pl)  
[otk@otk.org.pl](mailto:otk@otk.org.pl)

**Projekt okładki i szaty graficznej** Monika Zoloteńka

**Opracowanie redakcyjne i korekta** Marta Kupińska, Agnieszka Mańko

**Skład** Józef Paluch

**ISSN 1233-8605** nakład: 150 egz.

**Zrealizowano dzięki dotacji Ministra Spraw Wewnętrznych i Administracji**

Publikacja wyraża jedynie poglądy autorów i nie może być utożsamiana z oficjalnym stanowiskiem Ministra Spraw Wewnętrznych i Administracji



**WYDAWNICTWO  
KSIĘGARNIA  
AKADEMICKA**



KSIĘGARNIA AKADEMICKA  
ul. św. Anny 6, 31-008 Kraków  
tel.: 12 421-13-87; 12 431-27-43

e-mail: [publishing@akademicka.pl](mailto:publishing@akademicka.pl) <https://akademicka.pl>

---

## Wstęp

Z przyjemnością przekazujemy Państwu jubileuszowy numer naszego czasopisma, które ukazuje się nieprzerwanie od 1993 roku. Zgodnie z ideami założycieli „Biuletynu” jego celem jest dokumentowanie historii Ormian w Polsce oraz popularyzacja wiedzy z zakresu historii, kultury i współczesnego życia społeczności ormiańskiej. Chcemy tę tradycję kontynuować, dlatego staramy się łączyć tematykę historyczną z refleksją nad współczesnością, prezentując zarówno źródła i wspomnienia, jak i opracowania naukowe oraz materiały dokumentujące bieżącą aktywność środowiska. Chcąc zapewnić wysoki poziom merytoryczny i edytorski czasopisma, rozpoczęliśmy współpracę z wydawnictwem Księgarnia Akademicka, które specjalizuje się w publikowaniu czasopisma naukowego, a także opracowań i źródeł o tematyce ormiańskiej. W tym numerze zachowano dotychczasową szatę graficzną czasopisma.

Numer otwiera wywiad z Hraczją Bojadżjanem, przedstawicielem mniejszości ormiańskiej w Komisji Wspólnej Rządu i Mniejszości Narodowych i Etnicznych oraz konsula honorowego Republiki Armenii. Rozmowa dotyczy miejsca społeczności ormiańskiej we współczesnej Polsce, jej aktywności publicznej oraz wyzwań związanych z zachowaniem i rozwijaniem własnej tożsamości kulturowej. Jest to zarazem okazja do spojrzenia na sprawy ważne dla polskich Ormian z perspektywy osoby zaangażowanej w reprezentowanie ich interesów na szczeblu państwowym, jak również rozwoju relacji polsko-ormiańskich.

Ciekawe są dwie edycje źródłowe. W drugiej części wspomnień: „*Moja druga wojna światowa 1938-1944*” prof. Michał Bohosiewicz, walczący w armii rumuńskiej, opisuje własne doświadczenia i obserwacje, pozostawiając Czytelnikom cenne świadectwo epoki naznaczonej wojną, okupacją i dramatycznymi przemianami społecznymi. Tego rodzaju przekazy stanowią nie tylko ważne źródło historyczne, lecz także przypomnienie o losach konkretnych ludzi, których życie zostało ukształtowane przez wydarzenia XX wieku.

Do historii środowiska ormiańskiego we Lwowie nawiązują z kolei wspomnienia ks. Włodzimierza Cieńskiego poświęcone postaci ks. Adama Bogdanowicza – duchownego archidiecezji ormiańskiej we Lwowie, cenionego duszpasterza, teologa i patriotę. Tekst ten przybliży dramatyczne wydarzenia z okresu pierwszej okupacji sowieckiej Lwowa, kiedy duchowny za działalność konspiracyjną został aresztowany i zamordowany.

Prof. Andrzej A. Zięba opracował artykuł poświęcony dziejom rodu Augustynowiczów ze Lwowa w XVI i XVII wieku. Studium to wpisuje się w nurt badań nad rodzinami ormiańskimi, które przez stulecia współtworzyły życie gospodarcze, społeczne i kulturalne dawnej Rzeczypospolitej. Losy poszczególnych rodzin pozwalają bowiem spojrzeć na historię polskich Ormian nie tylko przez pryzmat wielkich wydarzeń, lecz także codziennych doświadczeń i wielopokoleniowych tradycji. Obfitująca w szczegóły biograficzne, daty i materiał źródłowy narracja będzie kontynuowana w kolejnym numerze.

Numer zamyka sprawozdanie zarządu Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego z działalności w latach 2022-2026. Podsumowano w nim inicjatywy na rzecz ochrony i popularyzacji dziedzictwa ormiańskiego, wydawnictwa, konferencje, prelekcje i spotkania integracyjne organizowane w ostatnich latach.

Mamy nadzieję, że artykuły tworzące niniejszy numer zainteresują zarówno osoby od lat zajmujące się tematyką ormiańską, jak i tych Czytelników, którzy dopiero rozpoczynają poznawanie bogatej historii i kultury polskich Ormian. Życzymy inspirującej i owocnej lektury.

Kolegium redakcyjne

# Wywiad z Hraczją Bojadżjanem – przedstawicielem mniejszości ormiańskiej w Komisji Wspólnej Rządu i Mniejszości Narodowych i Etnicznych

**Rozmawiał Kamil Gleń**

Hraczja Bojadżjan to jedna z najbardziej rozpoznawalnych postaci współczesnej społeczności ormiańskiej w Polsce. Urodzony w Jeghegnadzorze, od lat aktywnie angażuje się w działalność społeczną, budując mosty między Polską a Armenią oraz wzmacniając obecność i głos Ormian w życiu publicznym. Pełni funkcję konsula honorowego Republiki Armenii, a także reprezentuje mniejszość ormiańską w Komisji Wspólnej Rządu i Mniejszości Narodowych i Etnicznych. Jako prezes Ormiańsko-Polskiego Komitetu Społecznego działa na rzecz integracji, dialogu i zachowania dziedzictwa kulturowego. W rozmowie opowiada o swojej drodze, motywacjach oraz wyzwaniach związanych z pełnionymi funkcjami.

## **Skąd pochodzi Pana rodzina i od kiedy mieszka Pan w Polsce?**

Urodziłem się w Jeghegnadzorze, pięknym górskim mieście w regionie Wajoc Dzor w Armenii, położonym na historycznych szlakach handlowych łączących Wschód z Zachodem, będących częścią dawnego Jedwabnego Szlaku. To region niezwykle ważny dla historii Armenii, pełen średniowiecznych klasztorów, winnic i górskich krajobrazów. Właśnie w Wajoc Dzor archeolodzy odkryli najstarszy znany skórzany but świata oraz jedną z najstarszych winnic świata w jaskini Areni, liczącą ponad 6 tysięcy lat. Mieszkałem tam do ósmego roku życia.

Przodkowie mojego ojca pochodzą z Karsu, a rodzina mojej matki z Wanu – historycznych ziem Armenii, zamieszkiwanych przez Ormian od wieków. Po ludobójstwie Ormian w 1915 roku, dokonany przez Imperium Osmańskie, większość mojej rodziny, podobnie jak

miliony innych Ormian, zginęła lub została zmuszona do ucieczki. Nieliczni ocaleni schronili się na terenach ówczesnej Armenii.

Część rodziny od strony matki pochodzi również z miasta Choj w Iranie, gdzie od stuleci żyła liczna społeczność ormiańska. Moi przodkowie trafili tam po deportacjach przeprowadzonych w XVII wieku przez szacha Abbasa I z terenów dzisiejszego Wajoc Dzor, a po blisko dwóch stuleciach część rodziny wróciła na ziemie Armenii Wschodniej. Historia mojej rodziny jest więc częścią historii całego narodu ormiańskiego – historii tragedii, przetrwania i budowania życia od nowa.

### **Kiedy zaczął Pan aktywnie działać w środowisku ormiańskim i na czym polegała ta aktywność?**

Swoją działalność w środowisku ormiańskim rozpocząłem blisko 20 lat temu. Jedną z pierwszych inicjatyw była organizacja Dni Kultury Ormiańskiej w Gliwicach oraz reaktywacja działalności Związku Ormian w Gliwicach wspólnie z ówczesnym prezesem Juliuszem Sikorskim oraz ówczesnym przedstawicielem mniejszości ormiańskiej Maciejem Bohosiewiczem. W ramach Dni Ormiańskich zorganizowałem również turniej piłki nożnej o Puchar Ambasadora Republiki Armenii. Środki zebrane podczas wydarzenia zostały przekazane na renowację Pomnika św. Jana Nepomucena przy Kościele Trójcy Świętej w Gliwicach, związanym z tradycją obrządku ormiańskokatolickiego.

Później angażowałem się także w organizację Marszów Milczenia upamiętniających ofiary ludobójstwa Ormian w Warszawie. Przy pierwszych inicjatywach współpracowałem między innymi z ks. Tadeuszem Isakowiczem-Zaleskim. Z czasem moja działalność zaczęła obejmować coraz więcej projektów społecznych, kulturalnych i związanych z relacjami polsko-ormiańskimi.

### **Jakie obowiązki wiążą się z pełnieniem funkcji przedstawiciela mniejszości ormiańskiej w Komisji Wspólnej Rządu i Mniejszości Narodowych i Etnicznych, na którą został Pan powołany przez Prezesa Rady Ministrów w 2024 roku?**

Funkcja przedstawiciela mniejszości ormiańskiej w Komisji Wspólnej Rządu i Mniejszości Narodowych i Etnicznych to przede wszystkim odpowiedzialność za reprezentowanie Ormian mieszkających w Polsce wobec administracji państwowej. Do moich obowiązków należy przedstawianie problemów i potrzeb związanych z działalnością organizacji ormiańskich, kulturą, edukacją, ochroną dziedzictwa oraz rozwojem życia mniejszości ormiańskiej w Polsce. Komisja jest miejscem dialogu pomiędzy stroną rządową a przedstawicielami mniejszości narodowych i etnicznych, dlatego bardzo ważna jest umiejętność współpracy i budowania porozumienia.

Dla mnie istotny jest również wymiar związany z Armenią. Jako mniejszość narodowa wywodzimy się właśnie z Armenii, dlatego dobre relacje pomiędzy Polską a Armenią mają dla nas ogromne znaczenie. Uważam, że rolą przedstawiciela mniejszości jest nie tylko dbanie o sprawy Ormian w Polsce, ale również budowanie mostów pomiędzy Polską a Armenią. Polska i Armenia są naszymi dwiema ojczyznami. Polska jest krajem, którego od wieków Ormianie byli wiernymi obywatelami i współtworzyli historię Rzeczypospolitej, natomiast Armenia pozostaje ojczyzną naszych korzeni, historii i tożsamości.

Jestem także pierwszym przedstawicielem mniejszości ormiańskiej od momentu powstania tego stanowiska, który biegle posługuje się językiem ormiańskim i jednocześnie wychował się w Polsce. Dzięki temu łatwiej rozumiem różne środowiska i potrzeby naszej mniejszości. Od początku swojej działalności starałem się zakończyć sztuczne podziały, które przez lata istniały w środowisku, między „starymi” i „nowymi” Ormianami. Dziś coraz częściej pokazujemy, że tworzymy jedną mniejszość ormiańską, w której jest miejsce dla każdego, niezależnie od tradycji, poglądów czy obrządku.

### **Jako lider środowiska ormiańskiego w Polsce jak Pan ocenia jego kondycję, aktywność i perspektywy rozwoju?**

Uważam, że mniejszość ormiańska w Polsce jest dziś w bardzo dobrym momencie rozwoju. Mamy wiele aktywnych organizacji realizujących inicjatywy kulturalne, edukacyjne, społeczne i naukowe

w różnych częściach kraju. Widać coraz większe zaangażowanie młodego pokolenia, a także rosnącą obecność Ormian w życiu publicznym i akademickim.

Od dwóch lat, odkąd pełnię funkcję przedstawiciela mniejszości ormiańskiej, staram się aktywnie działać na rzecz zwiększania wsparcia dla organizacji ormiańskich. Dotacje przeznaczane na działalność mniejszości ormiańskiej rosną z roku na rok i po raz pierwszy od dawna nie stoimy w miejscu. Dzięki temu realizowanych jest coraz więcej wartościowych projektów i inicjatyw. Uważam jednak, że bardzo ważne jest odpowiedzialne i celowe wykorzystywanie tych środków, ponieważ tylko wtedy będą one realnie przekładały się na dalszy rozwój mniejszości.

W ostatnich latach Polska stała się również jednym z najważniejszych centrów badań armenistycznych w Europie. Na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu powstało Centrum Studiów Armenistycznych im. Mechitara Gosza, a na Uniwersytecie Jagiellońskim Pracownia Dziejów Ormian Polskich im. Sadoka Barącz. Są to inicjatywy, których niejedna liczniejsza mniejszość narodowa w Europie mogłaby nam pozazdrościć.

Ogromnie rozwinęła się również działalność kulturalna. Festiwal Kultury Ormiańskiej organizowany w Polsce ma dziś rangę największego cyklicznego wydarzenia prezentującego kulturę ormiańską w Europie. Bardzo silnie rozwija się także działalność wydawnicza. W Polsce regularnie ukazują się „Biuletyn Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego”, kwartalnik „Awedis”, dwumiesięcznik „Munetik” oraz rocznik naukowy „Lehahayer”. Trudno znaleźć dziś inne państwo w Europie, w którym mniejszość ormiańska posiadałaby tak rozwiniętą i regularnie wydawaną prasę oraz publikacje naukowe.

Bardzo dobrą kondycję środowiska ormiańskiego w Polsce potwierdzają również wyniki ostatniego spisu powszechnego. Jeszcze kilkanaście lat temu narodowość ormiańską deklarowało około 1200 osób, dziś jest to już blisko 7000. Osoby znające środowisko ormiańskie w Polsce wiedzą jednak, że Ormian mieszkających w naszym kraju jest znacznie więcej, około 50 tysięcy. Wielu z nich związało z Polską swoje życie, zakłada rodziny, rozwija firmy i aktywnie uczestniczy

w życiu społecznym. Dlatego jestem przekonany, że mniejszość ormiańska będzie w Polsce nadal dynamicznie się rozwijać.

**W ostatnim czasie przyczynił się Pan do powołania dwóch jednostek naukowych zajmujących się problematyką ormiańską: w Poznaniu i Krakowie. Proszę opowiedzieć o okolicznościach ich powstania.**

Powstanie obu jednostek naukowych było efektem wielu rozmów, spotkań i wspólnej pracy osób, którym zależało na rozwoju armenistyki w Polsce. Wszystko zaczęło się od wizyty razem z przedstawicielami Instytutu Piramowicza oraz Towarzystwa Ormian Polskich na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, związanej z organizacją lektoratu języka ormiańskiego. Spotkanie odbyło się z prorektorem UAM ds. współpracy międzynarodowej prof. dr. hab. Rafałem Witkowskim. Sam lektorat przez rok funkcjonował na uczelni, jednak już wtedy podczas mojej rozmowy z władzami uniwersytetu pojawił się pomysł stworzenia czegoś znacznie większego i trwałego, na wzór Instytutów Konfucjusza działających przy uczelniach na całym świecie. Rozmawialiśmy o powołaniu centrum, w ramach którego możliwe byłoby uruchomienie pełnych studiów armenistycznych. Był to bardzo ambitny i odważny projekt.

Sprawa spotkała się z dużą życzliwością ze strony władz Armenii. Bardzo pozytywnie do projektu odniósł się ówczesny ambasador Republiki Armenii Samvel Mkrтчian, a później również ambasador Alexander Arzoumanian. Odbyłem szereg spotkań, między innymi z wiceministrem edukacji, nauki, kultury i sportu Republiki Armenii Arturem Martirosyanem. Prowadziłem również rozmowy dotyczące wsparcia projektu oraz współpracy naukowej z dyrektorem dr. Arą Chzmalianem z Instytutu Starożytnych Rękopisów im. Mesropa Masztoca – Matenadaranu w Erywaniu, jednego z najważniejszych ośrodków naukowych Armenii. Wspólnie uznaliśmy, że patronem centrum powinien zostać Mechitar Gosz – wybitny ormiański uczyony, duchowny i autor *Datastana-girku*, średniowiecznego kodeksu prawnego, który przez wieki był wykorzystywany również przez Ormian polskich. To jedna z najważniejszych postaci w historii prawa i kultury ormiańskiej. Chcieliśmy, aby Centrum

Mechitara Gosza stało się dla Armenii tym, czym Instytut Konfucjusza są dla kultury chińskiej – miejscem promującym język, kulturę i wiedzę o Armenii. Dzięki życzliwości wielu osób udało się pozyskać środki z Armenii i doprowadzić projekt do realizacji, choć początkowo nieliczni wierzyli, że taki projekt uda się stworzyć w Polsce. Tak powstało Centrum Studiów Armenistycznych im. Mechitara Gosza na UAM w Poznaniu.

Działalność rozpoczęto od studiów podyplomowych, jednak od początku celem końcowym pozostaje stworzenie pełnych studiów armenistycznych. Dziś centrum rozwija się bardzo dynamicznie, działa rada programowa, organizowane są wydarzenia naukowe i kulturalne, a liczba około 50 studentów pokazuje, jak duże jest zainteresowanie tą tematyką. Jak na tak młody ośrodek jest to wynik naprawdę wyjątkowy.

Później miałem również zaszczyt włączyć się w działania związane z powstaniem Pracowni Dziejów Ormian Polskich im. Sadoka Barączka w Instytucie Historii Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Wspólnie z prof. Krzysztofem Stopką oraz dyrektorem Instytutu Historii UJ dr. hab. Januszem Mierzwą, prof. UJ, prowadziliśmy rozmowy dotyczące stworzenia jednostki zajmującej się historią Ormian w Polsce. Dzięki zaangażowaniu wielu osób również ten projekt udało się zrealizować.

Miałem zaszczyt zostać wybranym przewodniczącym rad obu tych jednostek. Początkowo wydawało mi się, że najtrudniejszy etap zakończył się wraz z ich powołaniem. Dziś wiem jednak, że był to dopiero początek. Sama idea i stworzenie instytucji są bardzo ważne, ale największym wyzwaniem jest ich dalszy rozwój, budowanie trwałych programów, współpracy międzynarodowej oraz tworzenie przestrzeni dla kolejnych pokoleń studentów i badaczy.

W obu tych jednostkach działają dziś wspaniali ludzie – naukowcy, wykładowcy i osoby od lat zaangażowane w rozwój armenistyki oraz relacji polsko-ormiańskich. Jestem im wszystkim bardzo wdzięczny za zaufanie, wsparcie i ogrom pracy włożonej w rozwój tych projektów. Cieszę się również, że to grono stale się powiększa i dołączają do niego kolejne osoby z Polski, Armenii i innych krajów. Uważam, że powstanie obu tych jednostek jest jednym z najważniejszych wydarzeń dla rozwoju armenistyki i życia naukowego mniejszości

ormiańskiej w Polsce w ostatnich latach. To dokonania historyczne, ponieważ przez blisko sto lat podejmowano podobne próby, które nie zakończyły się powodzeniem.

**W 2022 roku objął Pan funkcję konsula honorowego Republiki Armenii, początkowo dla województwa śląskiego, a od 2023 roku także dla dolnośląskiego, opolskiego i małopolskiego. Jak wyglądała Pana droga do objęcia tej funkcji i co było dla Pana najważniejszą motywacją do podjęcia tej roli?**

Objęcie funkcji konsula honorowego Republiki Armenii było dla mnie ogromnym zaszczytem, ale również wielką odpowiedzialnością. Moja droga do tej funkcji była naturalnym efektem wieloletniej działalności społecznej, pracy na rzecz mniejszości ormiańskiej oraz budowania relacji pomiędzy Polską a Armenią. Przez lata angażowałem się w organizację wydarzeń kulturalnych, inicjatyw społecznych i projektów związanych z promocją Armenii w Polsce. Z czasem ta działalność zaczęła obejmować również współpracę z instytucjami państwowymi, samorządami, środowiskami naukowymi i dyplomatycznymi.

W 2022 roku decyzją ministra spraw zagranicznych Republiki Armenii Ararata Mirzoyana zostałem powołany na funkcję konsula honorowego Republiki Armenii z siedzibą w Zabrze dla województwa śląskiego. Swoje listy komisyjne otrzymałem w Erywaniu z rąk wiceministra spraw zagranicznych Paruyra Hovhannisyana. Początkowo mój okręg konsularny obejmował jedno województwo, jednak już rok później minister spraw zagranicznych Republiki Armenii zdecydował o rozszerzeniu kompetencji konsulatu również na województwa dolnośląskie, opolskie i małopolskie. Dziś jest to największy honorowy okręg konsularny Armenii na świecie pod względem liczby regionów administracyjnych. W Polsce przyjęło się, że placówki obejmujące trzy województwa i więcej często posiadają już rangę konsulatów generalnych, dlatego było to dla mnie ogromne wyróżnienie i wyraz dużego zaufania ze strony państwa ormiańskiego.

Najważniejszą moją motywacją była możliwość jeszcze skuteczniejszego działania na rzecz relacji polsko-ormiańskich oraz

reprezentowania Armenii w kraju, który jest mi równie bliski. Polska i Armenia są dla mnie dwiema ojczyznami, dlatego możliwość budowania współpracy pomiędzy nimi traktuję nie tylko jako funkcję, ale również jako osobistą misję. Bardzo ważne było dla mnie także stworzenie miejsca, które będzie wspierało obywateli Armenii mieszkających w Polsce oraz pomagało rozwijać kontakty kulturalne, naukowe, społeczne i gospodarcze pomiędzy naszymi krajami.

Od początku zależało mi również na tym, aby konsulat był miejscem otwartym i aktywnym, angażującym się nie tylko w kwestie formalne, ale również w życie społeczne, kulturalne i naukowe. Dlatego obok działalności konsularnej rozwijamy współpracę z uczelniami, samorządami, organizacjami społecznymi i instytucjami kultury. Sądzę, że współczesna dyplomacja powinna opierać się nie tylko na relacjach politycznych, ale również na bezpośrednich kontaktach między ludźmi.

Od początku uważałem również, że rolą konsula honorowego jest nie tylko promowanie Armenii w Polsce, ale także promowanie Polski w Armenii. Dlatego wiele realizowanych inicjatyw miało charakter symboliczny i trwały. W Erywaniu udało się stworzyć Pomnik św. Jana Pawła II i Wielowiekowej Przyjaźni Polsko-Ormiańskiej, natomiast w Zabrze powstał Skwer Przyjaźni Polsko-Ormiańskiej wraz z chaczkarami upamiętniającymi wielowiekowe relacje obu narodów. Bardzo ważnym elementem są także partnerstwa miast i współpraca samorządów, które pozwalają budować relacje nie tylko na poziomie dyplomacji, ale przede wszystkim pomiędzy mieszkańcami obu krajów.

W ciągu ostatnich lat udało się zrealizować wiele inicjatyw związanych z promocją Armenii, rozwojem współpracy samorządowej, działalnością kulturalną i naukową oraz wsparciem mniejszości ormiańskiej w Polsce. Szczególne znaczenie miało dla mnie również budowanie relacji pomiędzy regionami Polski i Armenii, czego przykładem są podpisywane partnerstwa miast i współpraca pomiędzy uczelniami oraz instytucjami kultury.

## **Polskę i Armenię łączą wielowiekowe kontakty. Które momenty tej wspólnej historii uważa Pan za szczególnie ważne?**

Dzieje relacji polsko-ormiańskich są niezwykle długie i wyjątkowe. Myślę, że jednym z najważniejszych momentów było nadanie przez króla Kazimierza Wielkiego przywileju arcybiskupowi Grzegorzowi w XIV wieku oraz utworzenie ormiańskiego biskupstwa we Lwowie. Był to moment przełomowy, ponieważ państwo polskie oficjalnie uznało obecność Ormian, ich religię, tradycję i prawo do zachowania własnej tożsamości. Król Kazimierz Wielki pozwolił arcybiskupowi Apostolskiego Kościoła Ormiańskiego Grzegorzowi osiedlić się we Lwowie oraz sprawować jurysdykcję nad Ormianami zamieszkującymi ziemie Królestwa Polskiego. Był to wyjątkowy przykład tolerancji religijnej i otwartości państwa polskiego już w średniowieczu.

Od tego momentu na setki lat Ormianie stali się częścią historii Rzeczypospolitej. Ormianie byli kupcami, duchownymi, żołnierzami, naukowcami i urzędnikami. Współtworzyli gospodarczo i kulturowo dawne miasta Rzeczypospolitej, szczególnie Lwów, Kamieniec Podolski, Stanisławów czy Zamość. Bardzo ważne jest dla mnie również to, że Polska przez wieki była miejscem, w którym Ormianie mogli zachować swoją religię, język i tradycję, jednocześnie będąc lojalnymi obywatelami państwa polskiego. To wyjątkowy przykład integracji bez utraty własnej tożsamości.

Za szczególnie ważny uważam także okres II wojny światowej i lata powojenne, kiedy Ormianie, podobnie jak cały naród polski, doświadczyli ogromnych tragedii i przesiedleń. Mimo utraty dawnych kresowych centrów życia ormiańskiego udało się zachować pamięć, tradycję i życie religijne. Ogromną rolę odegrali tutaj duchowni ormiańskokatolicy, między innymi arcybiskup Józef Teodorowicz – wybitny duchowny, kaznodzieja i wieloletni arcybiskup ormiańskokatolicki we Lwowie, jeden z najwybitniejszych Ormian polskich XX wieku. Był nie tylko dumnym Ormianinem, ale również wielkim polskim patriotą i senatorem II Rzeczypospolitej. Do dziś pamiętane są jego patriotyczne przemówienia w polskim Sejmie i Senacie, w których podkreślał znaczenie niepodległości, odpowiedzialności za państwo oraz wspólnych

wartości budujących Rzeczypospolitą. Ogromną rolę odegrały także organizacje społeczne i całe rodziny, które przez dziesięciolecia pielęgnowały ormiańską tożsamość w Polsce.

Bardzo ważnym momentem była także odbudowa relacji polsko-ormiańskich po odzyskaniu przez Armenię niepodległości w 1991 roku. Dzięki temu możliwe stało się ponowne rozwijanie współpracy politycznej, naukowej, kulturalnej i społecznej pomiędzy naszymi państwami. Dziś widzimy, że te relacje ponownie bardzo dynamicznie się rozwijają, a historia, która rozpoczęła się setki lat temu, nadal jest żywa.

### **Jak ocenia Pan obecny stan relacji między Polską a Armenią – zarówno na poziomie politycznym, jak i społecznym?**

Uważam, że relacje pomiędzy Polską a Armenią są dziś bardzo dobre i w ostatnich latach wyraźnie się zacieśniły. Widać to zarówno na poziomie politycznym, jak i społecznym. Coraz częściej dochodzi do spotkań na najwyższym szczeblu, rozwija się współpraca wojskowa, naukowa i samorządowa, a Armenia jest coraz bardziej obecna w polskiej debacie publicznej. Bardzo duże znaczenie miała oficjalna wizyta premiera Armenii Nikoła Paszyniana w Polsce w lutym 2026 roku. Była to pierwsza od wielu lat tak ważna wizyta szefa rządu Armenii w Polsce. Spotkanie z premierem Donaldem Tuskiem oraz rozmowy polityczne pokazały, że Polska zaczyna odgrywać coraz większą rolę w relacjach Armenii z Unią Europejską. Ważny element stanowiło również podpisanie porozumienia o współpracy w dziedzinie obronności pomiędzy Armenią a Polską.

Równie istotna była wizyta premiera Donalda Tuska w Armenii podczas szczytu Europejskiej Wspólnoty Politycznej w Erywaniu w maju 2026 roku. Armenia stała się miejscem spotkania przywódców niemal całej Europy, co jeszcze kilka lat temu wydawało się trudne do wyobrażenia. Pokazuje to, że Armenia prowadzi dziś wyraźny kurs europejski i stara się rozwijać współpracę z państwami Unii Europejskiej, w tym z Polską.

Polska może być dla Armenii bardzo ważnym partnerem również ze względu na własne doświadczenia transformacji po 1989 roku

oraz drogi do członkostwa w Unii Europejskiej i NATO. Armenia może uczyć się od Polski reform administracyjnych, rozwoju samorządów, wykorzystania funduszy europejskich czy budowania nowoczesnego państwa po okresie postsowieckim. Polska w ciągu ostatnich 30 lat przeszła ogromną drogę rozwoju i myślę, że to doświadczenie może być dla Armenii bardzo cenne.

Niezwykle dynamicznie rozwijają się również relacje społeczne. Coraz więcej polskich uczelni współpracuje z Armenią, powstają partnerstwa miast, organizowane są wydarzenia kulturalne i naukowe. W Polsce mieszka też coraz więcej Ormian, którzy prowadzą firmy, studiują, zakładają rodziny i aktywnie uczestniczą w życiu społecznym.

Myślę, że bardzo ważną rolę odgrywa tutaj również mniejszość ormiańska w Polsce, która od lat wspiera rozwój relacji pomiędzy naszymi państwami. Dzięki działalności organizacji ormiańskich, środowisk naukowych, samorządów i ludzi zaangażowanych społecznie udaje się budować realne kontakty pomiędzy Polską a Armenią na wielu poziomach. Uważam, że relacje polsko-ormiańskie są dziś na bardzo dobrym etapie i mają duży potencjał dalszego rozwoju, szczególnie w obszarze gospodarki, edukacji, nowych technologii i współpracy samorządowej.

**Na zakończenie: jakie przesłanie chciałby Pan skierować do Polaków zainteresowanych Armenią oraz do Ormian mieszkających w Polsce?**

Polakom zainteresowanym Armenią chciałbym przede wszystkim podziękować za ogromną życzliwość, otwartość i zainteresowanie naszym krajem, historią oraz kulturą. Armenia to jeden z najstarszych narodów chrześcijańskich świata, kraj o niezwykle bogatej historii, ale również państwo młode, rozwijające się i patrzące dziś coraz bardziej w stronę Europy. Zachęcam wszystkich, aby poznawali Armenię nie tylko przez pryzmat trudnej historii, ale także przez ludzi, kulturę, naukę, kuchnię i współczesne życie tego kraju. Jestem przekonany, że każdy, kto odwiedzi Armenię, zobaczy niezwykle gościnną i bardzo bliskie Polakom wartości.

Ormianom mieszkającym w Polsce chciałbym powiedzieć, aby byli dumni zarówno ze swoich ormiańskich korzeni, jak i z miejsca,

w którym dziś żyją. Polska przez wieki była dla Ormian domem i krajem, w którym mogli zachować swoją tożsamość, religię i kulturę. Dziś również mamy obowiązek pielęgnować nasze dziedzictwo, język i tradycję, ale jednocześnie aktywnie uczestniczyć w życiu społecznym, naukowym, gospodarczym i publicznym Polski. Chciałbym również, abyśmy jako mniejszość potrafili być wspólnotą otwartą, nowoczesną i zjednoczoną. Bez podziałów na „starych” i „nowych” Ormian, ponieważ wszystkich nas łączy Armenia, nasza historia i odpowiedzialność za przyszłe pokolenia. Od nas zależy, czy za kilkadziesiąt lat kolejne pokolenia Ormian w Polsce nadal będą znały swoje korzenie i czuły więź zarówno z Armenią, jak i z Polską.

Wierzę, że przed relacjami polsko-ormiańskimi jest bardzo dobra przyszłość, a mniejszość ormiańska może nadal być ważnym mostem pomiędzy naszymi narodami i państwami.



1. 18 kwietnia 2022 roku  
Hraczja Bojadżjan został konsulem  
honorowym Republiki Armenii  
i odebrał listy komisyjne z rąk  
wiceministra spraw zagranicznych  
Republiki Armenii



2. 18 marca 2026 roku, podczas uroczystej inauguracji działalności Pracowni Dziejów Ormian Polskich im. Sadoka Barącza, powołano Radę Pracowni, której przewodniczącym został Hraczja Bojadżjan



3. Spotkanie z premierem Republiki Armenii Nikol Pashinyan podczas jego wizyty w Polsce, Warszawa, 26 lutego 2026 roku



4. Podczas spotkania noworocznego przedstawicieli kościołów, związków wyznaniowych oraz mniejszości narodowych i etnicznych z prezydentem Karolem Nawrockim, 14 stycznia 2026 roku



5. Podczas uroczystego posiedzenia Komisji Wspólnej Rządu i Mniejszości Narodowych i Etnicznych z okazji 20-lecia jej działalności z wiceministrem spraw wewnętrznych i administracji Tomaszem Szymańskim, 10 grudnia 2025 roku



6. Hraczja Bojadżjan (orm. Հրաչյա Բոյաճյան; ur. 14 czerwca 1985 w Jeghegnadzorze) – polski działacz społeczny ormiańskiego pochodzenia, konsul honorowy Republiki Armenii, przedstawiciel mniejszości ormiańskiej w Komisji Wspólnej Rządu i Mniejszości Narodowych i Etnicznych oraz prezes Ormiańsko-Polskiego Komitetu Społecznego



7. Uroczystości 35-lecia Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego, 3 czerwca 2025 roku

## „Moja” druga wojna światowa 1938-1944 (część 2)<sup>1</sup>

**Michał Bohosiewicz**

W związku z wciąż pogarszającą się sytuacją na frontach i coraz poważniejszymi trudnościami gospodarczymi pieniądź szybko tracił wartość. Za kilkadziesiąt tysięcy lei uzyskanych z ostatnich sprzedaży kupiłem tak zwane cocosei (czyt. kokoszej) – koguty (złote dwudziestofrankówki) i dałem je kuzynowi, aby oddał matce. Kuzyn likwidował swoje sprawy, gromadził pieniądze i zamierzał wyjechać za tydzień.

Urlop (ten przedłużony) skończył się, zgłosiłem się w ambulanse oczywiście w mundurze. Po tygodniu zjawił się nowy szef podporucznik rezerwy doktor Strutyński – Ukrainiec.

W połowie kwietnia jednostki liniowe dywizji zajęły pozycje na północnym skraju Jas, sztab i służby stanęły w mocno zniszczonym mieście. Ambulans dywizyjny zakwaterował się około 15 kilometrów na południe od Jas przy szosie do Vaslui. Chleb i surowce spożywcze otrzymywaliśmy dwa razy tygodniowo, jedzenie przygotowywaliśmy we własnym zakresie. Pasze dla koni kupowaliśmy u okolicznych chłopów, z otrzymanych zaliczek rozliczaliśmy się co dwa tygodnie.

Pracy nie było dużo. Żołnierze szybko zaprzyjaźnili się z mieszkańcami, którym pomagali w gospodarstwie i pracach polowych. Szefa i mnie często wzywano do chorych zwierząt. Wszystko to dawało korzyści w postaci otrzymywanych od mieszkańców produktów spożywczych, co wydatnie poprawiało jedzenie z kotła.

W maju 1944 roku nadszedł rozkaz, aby kupować łąki, kosić je we własnym zakresie i gromadzić siano. Do rozkazu dołączono drobiazgową instrukcję dotyczącą limitów cen zależnie od jakości łąk, komisyjnej wyceny oraz potrąceń podatku. Sprzedający, w większości analfabeci, podpisywali rachunki w gminie często krzyżykiem. Przy ścisłym przestrzeganiu instrukcji zawsze można było wygospodarować pewną

<sup>1</sup> Pierwsza część wspomnień została opublikowana w „Biuletynie OTK”, 2025, nr 122/123.

ilość pieniędzy, za które kupowaliśmy mięso do kotła i tytoń dla żołnierzy, ponadto zaangażowaliśmy kobietę do gotowania. Działalność ta nie była zgodna z regulaminem, ale była wojna i przełożeni patrzyli przez palce na wiele spraw, a nasze rozliczenia nie budziły zastrzeżeń.

Któregoś dnia jeden z kaprali sanitariuszy upił się i porwawszy siekiere, biegał po wsi, wykrzykując i grożąc ludności. Udało się go zamknąć w chlewie, przez noc wytrzeźwiał, po czym odstawiłem go do żandarmerii w Jasach.

Cały maj żołnierze kosili, zgromadziliśmy trzy ogromne stogi siana. Spokój we wsi przerywały czasem sowieckie samoloty. Któregoś dnia, kiedy byłem z żołnierzami na łące, nadleciał „kukuruźnik” i ostrzelał z broni maszynowej przejeżdżający w pobliżu pociąg towarowy. Z uszkodzonej lokomotywy uszła para, a zanim przyjechał parowóz i zabrał stojący w polu pociąg, przerwa w ruchu trwała kilka godzin. Kilkakrotnie samoloty nadlatywały w nocy i przy świetle flar rzucały bomby zapalające, zresztą z mizernym skutkiem, gdyż po pięciu nalotach spłonęła tylko jedna stodoła. Żołnierze pilnie zbierali spadochrony od flar na podarki dla miejscowych dziewcząt.

W kwietniu przeprowadzono maleinizację wszystkich koni dywizji, z jednej jednostki liniowej przysłano do ambulansu konia, który reagował dodatnio. Powtórna maleinizacja dała również wynik dodatni; koń był chory na nosaciznę, w myśl obowiązujących przepisów spisano odpowiedni protokół i zabito go. Przed wojną nosacizna w Rumunii nie występowała, podczas wojny chorobę tę stwierdzano niesłychanie rzadko, przeważnie u koni zdobycznych. Nie wolno wykonywać sekcji koni chorych na nosaciznę, lecz ja korzystając z okazji, chciałem zobaczyć w naturze zmiany znane mi tylko z fachowej literatury. W głębokim dole wypełnionym wapnem przeprowadziłem częściową sekcję, zmiany znalezione w płucach odpowiadały przedstawionym w atlasie anatomopatologicznym. W pewnym momencie zjawił się przy dole major Eftimescu, który niespodziewanie przyjechał do ambulansu, zameldowałem, że właśnie skończyłem sekcję. Poszliśmy na kwaterę, wiedziałem, co mnie czeka, gdyż sekcję wykonałem wbrew przepisom. Nie zawiodłem się, major mocno objechał mnie za nieprzemysłany wyczyn.

W połowie czerwca 1944 roku ambulans przesunięto bliżej linii frontu, stanęliśmy na południowo-wschodnim skraju Jas w małej

wiosce przy szosie do Vaslui. W młodym lesie, odległym około 300 metrów od szosy, wykopano schron – dwa razy załamany rów, długi na sześć metrów i głęboki na półtora, przykryty deskami i darnią. Obok były dobrze zamaskowane stanowiska dla koni i wozów. Wzdłuż najczęściej używanych ścieżek wykopano indywidualne doły głębokie na półtora metra i szerokości około 0,75 metra. Żołnierze zakwaterowali się w kilku domach w pobliżu schronu, szef i ja znaleźliśmy kwatery przy szosie. Jedzenie wciąż jeszcze przygotowywaliśmy we własnym zakresie z otrzymywanych dwa razy w tygodniu produktów, siano mieliśmy własne, w pasze treściwe zaopatrywaliśmy się u okolicznych mieszkańców. Co parę dni woziłem na stare miejsce postoju produkty spożywcze dla sześciu żołnierzy, którzy do końca czerwca kończyli koszenie i układanie stogów.

Urlopnicy i jeżdżący służbowo w głąb kraju przywozili wiadomości o coraz częstszym bombardowaniu obiektów przemysłowych i linii komunikacyjnych. Masowe naloty bombowców, startujących z zajętych już przez aliantów południowych Włoch, powodowały poważne szkody, zwłaszcza w przemyśle naftowym, bombardowano pola naftowe w dolinie Prahowy i rafinerie w Ploesztach.

Na froncie było spokojnie, nic nie wskazywało, aby w najbliższym czasie sytuacja miała się zmienić, zaczęto nawet udzielać kilkuniedniowych urlopów. Bez większej nadziei i ja poprosiłem majora o urlop, ku memu zaskoczeniu dostałem w połowie lipca dwa tygodnie.

Linie kolejowe były przeciążone, pociągi osobowe kursowały nieregularnie, częste bombardowania powodowały przerwy w komunikacji i konieczność objazdów; podróż do Craiovei trwała przeszło 24 godziny. Po całonocnej jeździe do Piteszti i około trzygodzinnym oczekiwaniu wsiałem do pociągu jadącego do Craiovei, w kilku wagonach brak było szyb, na ścianach były dobrze widoczne ślady ostrzału z broni maszynowej. Około godziny 14:00 na jednej ze stacji ogłoszono alarm lotniczy. Szybko odprawiony pociąg po przejechaniu kilkunastu kilometrów zatrzymał się w polu, pasażerom kazano wyjść z wagonów i oddalić się 200-300 metrów od toru.

Dzień był bardzo gorący, podszedłem do rosnących na miedzy krzaków i położyłem się w cieniu. Po kilkunastu minutach usłyszałem

nasilający się szum nadlatujących z zachodu samolotów. W pewnym momencie pojawiły się na dużej wysokości bombowce, którym towarzyszyły uwijające się wokół i migające w słońcu myśliwce. Zacząłem liczyć, doszedłem do przeszło 120 maszyn, po czym zgubiłem się. Fala samolotów szybko oddaliła się w kierunku wschodnim, po niej w kilkunastu minutach odstępach nadleciały dalsze trzy. Kilka minut po przelecie pierwszej fali poczułem lekkie drżenie ziemi i po chwili usłyszałem od wschodu głuche detonacje, odgłosy bombardowania słychać było jeszcze parę minut po przelocie ostatniej fali.

Po około dwugodzinnym postoju ruszyliśmy w dalszą drogę. Wzdłuż linii kolejowej widać było skutki wcześniejszych bombardowań: rozbite lokomotywy i wagony, głębokie leje, na stacjach spalone budynki. Według doniesień prasy i radia straty powodowane przez lotnictwo alianckie były nieznaczne, w rzeczywistości były one ogromne. Wracając z urlopu, przejeżdżałem przez Plojeszty, gdzie widziałem dwie duże rafinerie doszczętnie zniszczone, a na dachach peronów częściowo spalonego dworca kolejowego wyrzucone wybuchami cysterny.

Przed moim przyjazdem do Craiovei alianci zbombardowali trzykrotnie, a w czasie urlopu dwukrotnie miejscowy park, gdzie zniszczono ogromne ilości złożonej tam amunicji. Wielu znajomych obawiając się dalszych bombardowań opuściło miasto. Wiosenna ofensywa sowiecka oraz nękające od dłuższego czasu masowe naloty aliantów spowodowały, że nastroje ludności stawały się coraz bardziej pesymistyczne. Wprawdzie na frontach było spokojnie, lecz obawiano się, że działania wkrótce nasilą się, a gdy ruszy ofensywa, to sowieci zaleją cały kraj. Jak wykazała niedaleka przyszłość, obawy te były w pełni uzasadnione.

Dwa tygodnie urlopu minęły szybko, do ambulansu wróciłem na początku sierpnia 1944 roku. Przy utrzymującym się od dłuższego czasu spokoju na froncie nic nie wróżyło rychłej zmiany sytuacji. Urlopy wydawano według wcześniej ułożonych planów, chyba dziesiątego lub jedenastego sierpnia wyjechał na dwa tygodnie szef ambulansu dr Strutyński. Parę dni po jego wyjeździe sowieci przerwali front, rozpoczął się odwrót – licząc ewakuację Miercuria Ciucului w 1940 roku – dla mnie czwarty i ostatni.

Po południu 19 sierpnia 1944 roku odwiedził mnie Janusz Krzysztofowicz, którego jednostka stała kilka kilometrów od ambulan- su. Po długim niewidzeniu się rozmawialiśmy do późna. Nad ranem obudził nas silny ostrzał artyleryjski. Z uwagi na nasilającą się kanona- dę Janusz, mimo że posiadał przepustkę ważną do 21 sierpnia, zdecy- dował się na powrót do jednostki.

Krótko po jego odejściu pojawiły się sowieckie samoloty, nadla- tywały w krótkich odstępach czasu i ostrzeliwały oblatywany teren. Podczas jednego nalotu ostrzelały stanowiska koni, raniąc jednego żołnierza i kilkanaście koni. Wracając od koni do kwatery, usłyszałem szum i schroniłem się w indywidualnym dole. Po chwili zobaczyłem przed sobą i po bokach obłoczki kurzu unoszące się w miejscach ude- rzeń pocisków i darte pociskami liście kukurydzy. I tym razem, podob- nie jak w 1942 roku w Salskich Stepach, wyszedłem z ostrzału bez szwanku.

Kilkanaście minut później, kiedy w kwaterze pakowałem leki, usłyszałem głośny wybuch i równocześnie odczułem silny wstrząs; ściany izby zarysowały się i z sufitu posypał się tynk. Wyszedłem do sionki, gdzie ujrzałem kupę gruzów i unoszącą się chmurę pyłu. Gdy byłem w izbie, na drugą połowę domu spadła mała bomba. Gospodarz w chwili wybuchu był w ogrodzie, dzięki czemu uniknął śmierci.

Około godziny 8:00 nadleciało w zwartym szyku przeszło trzy- dzieści sowieckich bombowców. Niemiecka artyleria przeciwlotnicza otworzyła silny ogień i w jednej chwili szyk uległ rozbiciu. Część tra- fionych maszyn rozpadała się na płonące fragmenty, inne, wlokąc za sobą ogon dymu, spadały na ziemię. Z miejsc, gdzie spadły, unosiły się chmury gęstego czarnego dymu i słychać było głośne eksplozje. Z nie- których trafionych maszyn wyskakiwała załoga, w powietrzu zaroily się spadochrony. Niemcy natychmiast otworzyli ogień do usiłujących ratować się ludzi. Zaledwie kilka samolotów zdołało zawrócić i ująć.

Ambulans jak zwykle nie miał łączności telefonicznej, komen- da dywizji kontaktowała się z nami za pośrednictwem gońców. Ruch na szosie biegnącej obok mojej kwatery od rana wzrastał się, poja- wiało się coraz więcej pojazdów wojskowych i cywilnych oraz ma- łych grup pieszych. Kanonada artyleryjska utrzymywała się, samoloty

ostrzeliwały bliskie tereny i szosę, chwilami słychać było także broń maszynową. Czekałem na rozkazy, lecz pamiętając dzień 25 grudnia 1942 roku, kiedy sowieci przerwali front w Salskich Stepach, a ambulans, nie otrzymawszy żadnych rozkazów, zdążył włączyć się do odwrotu tylko dzięki własnej inicjatywie, kazałem ładować wozy i przygotować się do wymarszu. Równocześnie wysłałem do majora Eftimescu konnego gońca, który wrócił po godzinie i zameldował, że po sztabie dywizji i majorze miejsca już ostygły. Wyszedłem na szosę, aby zorientować się w sytuacji. Spotkany znajomy porucznik poinformował mnie, że sowieci atakują od świtu i front może załamać się w każdej chwili, w ogólnym bałaganie nikt nie daje rozkazów i każdy działa na własną rękę.

Wróciłem do moich wozów gotowych do wymarszu. Dwa ciężko ranne konie kazałem zastrzelić, lżej ranne przekazałem miejscowym chłopom. Zabraliśmy wszystkie materiały z wyjątkiem 600 podków i dwóch skrzynek podkowiaków otrzymanych przed dwoma dniami. 20 sierpnia, około godziny 9:00 wozy ruszyły, rozpoczął się nowy odwrót, dla mnie już czwarty, tym razem ostatni.

Kolumna ambulansu, licząca siedem wozów, wtoczyła się na szosę i włączyła w nurt pojazdów. Sowieckie samoloty ostrzeliwały i bombardowały szosę w krótkich odstępach czasu. Powstawała panika, wozy zderzały się, ludzie chronili się w rowach, uciekali w pola i do bliskiego lasu. Krótki czas po nalocie marsz odbywał się spokojnie, po czym historia powtarzała się. Po około godzinie od rozpoczęcia odwrotu, podczas kolejnego nalotu schroniłem się w jednym z kilku znajdujących się w przydrożnym lesie lejów pozostałych po wybuchu bomb. Po chwili w odległości kilku metrów spadła i wybuchła bomba. Po skończonym nalocie sięgnąłem po papierosa. Srebrna papierosnica, którą zawsze nosiłem w lewej górnej kieszeni munduru, była w jednym miejscu nieco wgnieciona, a w kieszeni znalazłem kilkumilimetrowy odłamek metalu.

Po dwóch godzinach marszu przechodziliśmy obok ewakuowanego niemieckiego szpitala. Duży trzypiętrowy budynek, oddalony od szosy około 50 metrów, otaczały sanitarki i ciężarówki, do których ładowano pacjentów niemogących poruszać się o własnych siłach.

Towarzyszyła im część niższego personelu sanitarnego. Cały teren był gęsto oznakowany flagami Czerwonego Krzyża. Niemieccy żandarmi zatrzymywali na szosie wszystkie samochody i w miarę miejsca ładowali łóżka rannych. Każdy chory miał teczkę z historią choroby, łóżka ranni zawieszoną na szyi, leżący przywiązana do noszy. Ewakuacja przebiegała bardzo sprawnie. Jak mi powiedzieli rumuńscy żandarmi, sowieckie samoloty omijały teren szpitala.

Około godziny 14:00 kanonada ucichła, naloty ustały, marsz odbywał się bez zakłóceń. Udało mi się zatrzymać rumuńską sanitarkę i przekazać ranionego żołnierza. Dzień był upalny, dokuczalo pragnienie. Żołnierze zobaczyli kilkadziesiąt metrów od szosy niewielkie poletko kawonów i kilku poszło zerwać parę arbuźów. Po chwili doszedł nas stamtąd zgłęb, właściciele – trzech ogromnych chłopów z widłami, rzucili się na żołnierzy, zaczęła się awantura. Podeszedłem do nich i tłumaczyłem właścicielom, aby pozwolili wziąć arbuzy po dobroci, jeżeli dojdzie do bójki, to uzbrojeni żołnierze zawsze wezmą górę, zresztą wkrótce przyjdą sowieci, którzy bez pytania zabiorą wszystko, co zechcą. Żadne argumenty do nich nie trafiały, w końcu widząc, że żołnierze sięgają po karabiny, ustąpili. Nie chcąc pozostawiać złych wspomnień, dałem im dwa nowe koce.

Około godziny 15:00 zobaczyłem obok szosy kilka samochodów ze znakami naszej dywizji. Podeszedłem do kręcących się tam ludzi i spotkałem majora Eftimescu. Zameldowałem, że goniec wysłany po rozkazy nie znalazł nikogo na kwaterze, dlatego też widząc, co się dzieje na szosie, ruszyłem bez rozkazu. Wysłuchał mnie spokojnie i bez komentarzy, kazał jechać dalej i zatrzymać się w dawnym miejscu postoju, gdzie mieliśmy zapasy siana i słomy, tam czekać na dalsze rozkazy. Usłyszawszy, że zostawiłem 600 podków, zaczął ciskać się. Oświadczył, że ataki sowieckie odparto i kazał natychmiast wysłać wóz po te nieszczęsne podkowy. Nie bardzo wierzyłem w załamanie się sowieckiego natarcia, lecz znając majora, wiedziałem, że żadne argumenty nie wpłyną na zmianę rozkazu.

Było mało prawdopodobne, że te nieszczęsne podkowy można będzie znaleźć. Wysłanemu po nie żołnierzowi nakazałem, by nie pchał się na siłę w kierunku frontu i uważał, aby w panującym na szosie

bałaganie swoi nie odebrali mu wozu i koni. Po jego odjeździe pomyślałem, że właściwie mogłem nie wykonać głupiego rozkazu. Gdyby nawet sowievi nie przerwali frontu, to zawsze mogłem wyłgać się, że podków nie znaleziono, gdyż zaraz po naszym odjeździe miejscowi chłopci rozdzielili je między siebie. Moje obawy potwierdziły się, raniem 20 sierpnia 1944 roku żołnierz wrócił bez wozu i koni, zameldował, że zabrał mu je jakiś oficer rumuński. Musiałem przyjąć meldunek w dobrej wierze, wiedząc jednak, co można zdziałać w czasie odwrotu i znając mentalność Rumunów, nie mogłem wyzybyć się podejrzenia, że żołnierz zjechał z szosy i w jakiejś miejscowości oddalonej od niej kilka kilometrów sprzedał konie i wóz.

Po rozstaniu się z majorem ruszyliśmy w dalszą drogę, do miejscowości, gdzie stały stogi naszego siana i słomy, dojechaliśmy przed wieczorem. Kazałem przepakować wozy, aby jeden opróżnić na siano. Miejscowa ludność, dobrze nam znana z poprzedniego kilkutygodniowego pobytu, dostarczyła trochę produktów spożywczych, z których przygotowaliśmy ciepłą strawę. Następnego dnia okazało się, że żołnierze na własną rękę zdobyli kilkanaście sztuk drobiu, którymi żywił się w ciągu dalszych dwóch dni.

Noc 20/21 sierpnia przeszła spokojnie. Do południa 21 sierpnia ciężarówki podwoziły wojsko w kierunku Jas, w przeciwnym kierunku szły grupy pieszych wojskowych i cywili oraz chłopskie wozy naładowane dobytkiem. W każdej chwili byliśmy gotowi do wymarszu, oczekiwałem na obiecane rozkazy, których, jak zresztą w każdej poważniejszej sytuacji, nie otrzymałem.

Okolo godziny 14:00 ruch na szosie nagle nasilił się, coraz więcej pojazdów ciągnęło w głąb kraju na razie spokojnie i w ordynku, panika zaczęła się okolo godziny 16:00. W pewnym momencie usłyszałem narastający łoskot, jak gdyby zbliżał się ciężki pojazd na gąsienicach. Po chwili w strumieniu pojazdów mechanicznych pojawił się niemiecki łażik bez opon, jadący na felgach; hałas i widok były niepowtarzalne. Jadący nim oficerowie mocno gestykulowali i głośno pokrzykiwali.

Kilkanaście minut później przejechała kolumna samochodów ze znakami naszej dywizji, w otwartym łażiku mignęła mi twarz majora Eftimescu. Przestałem oczekiwać rozkazów i natychmiast ruszyłem

w dalszą drogę. Nie próbowałem wjechać na zapchaną dwoma rzędami pojazdów szosę. Pojechalśmy bocznymi drogami, gdzie ruch był minimalny, prowadził jeden z moich żołnierzy dobrze znający okolicę. Przed wieczorem zatrzymaliśmy się na krótki odpoczynek, po czym kontynuowaliśmy marsz. Krótko po północy szedłem pieszo kilka metrów przed kolumną, większość żołnierzy drzemała na wozach. W pewnym momencie usłyszałem dobrze znane brzęczenie „kukuruźnika”, chwilę później zawisła nad szosą flara i równocześnie w rowie obok pierwszego wozu wybuchła bomba. Odłamki zabiły dwa konie w zaprzęgu, przebiły boczne deski wozu i (jak stwierdziłem później) uszkodziły 2 skrzynie z lekami; jadący na wozie czterej żołnierze wyszli bez szwanku. Mieliśmy kilka luzem prowadzonych koni, dwa zaprzęgliśmy do pierwszego wozu i kontynuowaliśmy marsz. Po chwili poczułem w prawym ramieniu pieczenie i lekki ból. Okazało się, że trafił mnie odłamek, skóra była przecięta na długości około półtora centymetra, w płytkiej ranie tkwił kawałeczek metalu. Przy świetle latarki sanitariusz łatwo usunął go, zdezynfekował ranę i założył opatrunek.

Rankiem 22 sierpnia około godziny 5 zatrzymaliśmy się w małym osiedlu przed dużą wsią, położonym na niewielkim wzniesieniu. Jak zwykle zachowaliśmy pełną gotowość marszową, ludzie spali na zmianę, nakarmiono konie. Około godziny 8 poszedłem do wsi, znalazłem punkt sanitarny, gdzie zaaplikowano mi surowicę przeciwtężcową i zmieniono opatrunek. Wieś była pełna wojska. Spotkani znajomi ze sztabu dywizji poinformowali mnie, że front został przerwany i nie wiadomo, jak daleko za nami znajdują się sowieci. Mego majora nie spotkałem.

Około godziny 14 nadleciało kilka sowieckich samolotów, ostrzelały wieś i rzuciły pęczki małych bomb zapalających. Płomień ogarnął kilka chat krytych słomą, nikt nie próbował gasić, pożar rozszerzał się gwałtownie. Chłopi ładowali dobytek na wozy i przygotowywali się do wyjazdu. Szosa pomału zapełniała się wychodzącym za wsi wojskiem i cywilnymi uciekinierami, my także ruszyliśmy w drogę.

Przejechalśmy przez wieś, kilka minut później usłyszałem w tyle kilka głośnych detonacji. Na wzniesieniu przed wsią, tam gdzie przed kilkudziesięciu minutami stały nasze wozy, pojawiły się dwa

sowieckie czołgi i zaczęły ostrzeliwać szosę. Natychmiast wybuchła panika, konne kolumny rwały przed siebie w trzech rzędach, powstała straszliwa kołowanina, rozbite wozy utrudniały przejazd.

Chcąc szybciej jechać i uniknąć kolizji z wozami, zjechałem na ciągnące się wzdłuż szosy niezaorane suche ściernisko. Początkowo oddalałem się od nadjeżdżających czołgów znacznie szybciej niż pojazdy na szosie. Po kilkunastu minutach dojechaliśmy do leżącego około 3 kilometry za wsią płaskiego kanału, nie można go było jednak przejechać w bród gdyż opadające pionowo, wysokie na dwa metry brzegi broniły dostępu do wody. Jedyna droga prowadziła przez most, przed którym trzeba było wjechać na szosę, czego z powodu panującej na niej paniki nie można było zrobić.

Tymczasem czołgi przejechały wodę, zatrzymały się na jej skraju i zaczęły ostrzeliwać zatłoczoną przed mostem szosę. Nie mogąc wjechać na szosę ani przejść kanału w bród, kazałem wyprząc konie, wchodzić pojedynczo na szosę i przejść most. Moi „kawalerzyści na oklep” szybko zebraли się za mostem i zwartą grupą kłusowaliśmy w kierunku Barladu. Jazda bez siodła była męcząca, poruszaliśmy się niemrawo, nieliczne jadące za nami wozy mijały nas, wkrótce zostaliśmy na szosie sami.

Czołgi zaczęły powoli posuwać się w kierunku mostu. W pewnym momencie przeleciały nad nami dwa niemieckie samoloty, zaraz po tym usłyszeliśmy kilka detonacji i w miejscu, gdzie przed chwilą były czołgi, ujrzeliśmy kłęby czarnego dymu i płomienie. Po zrzuceniu bomb samoloty poleciały w kierunku Jas, a po kilku minutach wróciły i odleciały w kierunku Barladu.

Byliśmy około 1 kilometr za mostem i patrzyliśmy na płonące czołgi. Nasze wozy porzucone nad brzegiem kanału i pojazdy rozbite na szosie były dobrze widoczne. Po chwili zobaczyliśmy, że na odcinku szosy między palącymi się czołgami i mostem pojawiają się pojedynczy piesi, a za czołgami grupki pieszych i pojedyncze konne wozy. Widząc, że ruch na szosie pomału rośnie, wróciliśmy do wozów, wprzęgliśmy konie i spokojnie ruszyliśmy w dalszą drogę do Barladu.

Około godziny 19 minęliśmy oddział Niemców zajmujących pozycje. Prostopadle do ustawionych po obydwu stronach szosy ciężkich

karabinów maszynowych, okopywali się żołnierze w odległości 25-30 metrów od siebie. Była to jednostka SS, żołnierze w czarnych mundurach, uzbrojeni w pistolety maszynowe i granaty. Nie wierzyłem, aby taka linia obrony mogła utrzymać się długo. Moja niewiara potwierdziła się, następnego dnia raniem znowu dopędziły nas sowieckie czołgi.

Późnym wieczorem zatrzymaliśmy się na skraju wsi. Nieco w tyle po prawej stronie szosy było małe wzniesienie, a za nim (jak się później dowiedziałem) niemieckie lotnisko. Nadszedł ranek 23 sierpnia 1944 roku, data pamiętna w historii Rumunii, która nigdy nie zatarła się w mojej pamięci. W tym dniu Rumunia skapitulowała. Dzień ten nazwany przez komunistów „dniem wyzwolenia”, stał się na długie lata świętem narodowym Rumunii. Zniesiono je dopiero po „rewolucji” 22 grudnia 1989 roku to jest po przewrocie przeciwkomunistycznym i zastrzeleniu Ceaușescu.

Ruszyliśmy około godziny 7, ruch na szosie był niewielki. Nie ujechaliśmy więcej niż 400 metrów, kiedy zza wzniesienia po prawej stronie szosy zaczęły nadlatywać na bardzo niskim pułapie liczne niemieckie samoloty. Po chwili usłyszeliśmy kilka głośnych detonacji i ujrzelśmy unoszące się poza wzniesieniem kłęby dymu. Jak się później dowiedziałem, rosyjskie czołgi nadjechały polami i niespodzianie ostrzelały lotnisko.

Teren przed nami stopniowo obniżał się, około 2 kilometry od wzniesienia szosa wchodziła w wysokopienny las. Usłyszawszy strzały, ruszyliśmy galopem, ruch na szosie był mały, można więc było jechać szybko, bez ryzyka kolizji z innymi pojazdami. Samoloty przestały nadlatywać, strzały na chwilę ucichły, po czym na wzniesieniu pojawiły się trzy sowieckie czołgi i zaczęły ostrzeliwać szosę, na szczęście niecelnie. Mijając jakieś zabudowania, zobaczyłem uwiązane do parkanu osiodłanego konia. Niewiele myśląc, zeskoczyłem z wozu, wsiadłem na konia i pogałem za wozami, które tymczasem wjechały w las. Po kilku strzałach czołgi umilkły, dalszy marsz odbywał się spokojnie, wszystko to trwało zaledwie kilka minut.

Zająłem się moją „zdobyczą”. Konia skradłem Wehrmachtowi, na siodle znalazłem okrągłą pieczęć z hakenkreuzem i jakimś numerem. W kaburach znalazłem bochenek chleba, 5 tabliczek czekolady

i trochę konserw, rewolwer, lornetkę, przybory toaletowe, 2 zmiany bielizny i skórzane rękawiczki. Zatrzymałem konserwę i 2 tabliczki czekolady, pozostałe wiktuały dałem żołnierzom do podziału, lornetkę zawiesiłem na szyi, resztę rzeczy zostawiłem w kaburach.

W lesie dołączyliśmy do poprzedzającej nas długiej kolumny rumuńskich pojazdów konnych. Co pewien czas wyprzedzały nas niemieckie wozy pancerne, zmotoryzowana artyleria, cysterny, traktory, ciężarówki itd. Z lasu wyszliśmy około godziny 10. Szosa stawała się coraz bardziej zatłoczona, ruch coraz wolniejszy. Przydał mi się skradziony koń, mogłem łatwo poruszać się na zapchanej szosie, pojechałem do przodu, aby zobaczyć, co się tam dzieje. Przed ambulansem ciągnęły się nieprzerwanie kolumny pojazdów konnych i oddziały pieszych. Wojska gromadzone na drogach dojazdowych usiłowały wejść na szosę. Im bardziej oddalałem się od moich wozów, tym więcej było zwartych oddziałów pieszych; widziałem dużo żandarmerii rumuńskiej i niemieckiej.

Około godziny 11 pojawiły się sowieckie samoloty i odtąd latały nad szosą do wieczora, lecz nie ostrzeliwały jej. Zdziwił mnie ten spokój, nie wiedziałem jeszcze o kapitulacji. Mijając coraz wolniej przesuwające się kolumny, natknąłem się na kilka furgonów ze znakami naszej dywizji, byli w nich znajomi z działu finansowego.

Właśnie od nich około godziny 12 dowiedziałem się o kapitulacji oraz o tym, że staliśmy się sojusznikami aliantów i od dziś jesteśmy w stanie wojny z Niemcami. Oni też poinformowali mnie, że zbliżamy się do mostu na Serecie jedynej kołowej przeprawy dla wojsk wycofujących się z blisko 250-kilometrowego odcinka frontu.

Około godziny 16 ruch na szosie ustał, kolumny posuwały się co pewien czas po kilkadziesiąt metrów. Ambulans znajdował się około 5 kilometrów od mostu, przed nim ciągnęły się nieprzerwane kolumny. Nadjeżdżający z tyłu konni i motocykliści mówili, że w tyle szosa jest zapchana wojskiem, a drogami dojazdowymi nadchodzą coraz to nowe grupy.

Podjechałem do mostu i dłuższy czas przyglądałem się przeprawie, dyrygowała nią wspólnie grupa oficerów rumuńskich i niemieckich. Wojsk niemieckich było znacznie więcej niż rumuńskich, na most

wchodziły na przemian oddziały rumuńskie i niemieckie, żandarmi obydwu stron pilnowali porządku i spokoju.

„Przyjaźń” rumuńsko-niemiecka w ostatnim czasie znacznie osłabła, mniej lub bardziej poważne zatargi między sojusznikami nie były rzadkie. Wiadomość o kapitulacji szybko rozszerzała się, w godzinach popołudniowych wszyscy już o niej wiedzieli. W sytuacji, kiedy dwa od kilku godzin wrogie wojska stały obok siebie w oczekiwaniu na przeprawę, łatwo mogło dojść do walki i obfitego rozlewu krwi. Starć uniknięto chyba tylko dzięki zrozumieniu sytuacji oraz przestrzeganiu kolejności i porządku przechodzenia oddziałów przez most przez obydwie strony.

Front nie istniał, sowieci łatwo mogli zablokować przeprawę, ich czołgi i artyleria mogły bocznymi drogami dotrzeć do mostu, samoloty latały cały dzień bez jednego strzału, bombardowanie mostu rozpoczęło się o godzinie 22. Można sądzić, że sowieci celowo nie atakowali przeprawy do momentu przejścia przez most większości jednostek rumuńskich.

Wracając do moich wozów, spotkałem wachmistrza Dobrowolskiego (zrumunizowany Polak), który do 27 czerwca 1940 roku, daty pierwszego wkroczenia Sowietów na Bukowinę i po jej odebraniu w 1941 roku, był komendantem posterunku żandarmerii w mojej wsi. Opowiedział mi, że tamtejsi chłopcy (Ukraińcy), którzy w 1940 roku tryumfalnymi bramami witali wkraczających Sowietów, przed ich ponownym wejściem w 1944 roku zachowywali się bardzo powściągliwie, kilkanaście rodzin nawet opuściło wieś i wyjechało w głąb kraju. Krótko jeszcze porozmawialiśmy o wspólnych znajomych i każdy poszedł w swoją stronę.

Byłem zmęczony, po powrocie do ambulansu przysiadłem w tyle wozu. Obawiając się, że usnę i nie chcąc utracić zdobycznego konia, owiązałem wodze wokół rąk. Istotnie zasnąłem, kiedy obudziłem się, konia nie było, a w dłoniach pozostał mi kawałek odciętego rzemienia. Łatwo przyszło, jeszcze łatwiej poszło, pozostała mi na pamiątkę lornetka.

Pomału zbliżaliśmy się do przeprawy, około godziny 19 przekroczyliśmy Seret, w pierwszej napotkanej wsi odległej 2 kilometry

od rzeki zatrzymaliśmy się na odpoczynek. Zastaliśmy tam znajomych z działu finansowego dywizji, postanowiliśmy dalej iść razem.

Około godziny 22 usłyszeliśmy od strony mostu głośne detonacje. Nad przeprawą było jasno, w powietrzu wisiały flary. Do wybuchów bomb dołączyła się kanonada artylerii przeciwlotniczej, słychać było także broń maszynową. Widok był niecodzienny, jasno jak w dzień, w powietrzu samoloty, niektóre palące się, pociski świetlne, ludzie na spadochronach. Widząc, co się tam dzieje, przerwaliśmy postój i odmaszerowaliśmy w kierunku Buzau. Około trzeciej nad ranem zatrzymaliśmy się w osadzie odległej 3 kilometry od miasta.

Było ogólnie wiadomo, że w Buzau stacjonuje duży garnizon niemiecki, a szosa w kierunku Plojeszt, którą wypadła nam droga, przecina niemieckie tereny wojskowe. Był drugi dzień po kapitulacji, nie wiedzieliśmy, jak wewnątrz kraju układają się wzajemne stosunki wrogich od wczoraj armii. Można było wprawdzie ominąć miasto, lecz wymagałoby to nadłożenia około 30 kilometrów, zdecydowaliśmy więc iść przez miasto.

Do Buzau weszliśmy po godzinie 7, skrzyżowania ulic przelotowych były obsadzone przez Niemców. Muszę przyznać się, że nie czułem się zbyt dobrze, defilując 2-3 metry przed wymierzonymi w nas karabinami maszynowymi i działkami przeciwpancernymi, minęliśmy sześć takich stanowisk. Ulice przelotowe były częściowo zablokowane zasiekami z drutu kolczastego i dużymi blokami betonu. Mijani Niemcy patrzyli na nas chmurnym wzrokiem, lecz zachowywali się spokojnie.

Około 2 kilometrów za miastem weszliśmy na odcinek szosy przechodzący przez niemiecki teren wojskowy. Po prawej stronie było duże lotnisko, na którym podczas naszego przemarszu co kilka minut startowały i lądowały samoloty. Później dowiedziałem się, że właśnie maszyny startujące w czasie naszego przemarszu z tego lotniska bombardowały Bukareszt w dniu 24 sierpnia 1944 roku. Po drugiej stronie szosy znajdowały się zbiorniki płynnych paliw, baraki, parkowały wozy pancerne, czołgi i samochody. Odcinek szosy przechodzący między tymi terenami był długi na około 2,5 kilometra. Od momentu wejścia na ten teren eskortowali nas niemieccy żandarmi, nie próbowali rozbrajać, tylko nerwowo popędzali. Na szosie mijaliśmy formujące się kolumny

ciężarówek, artylerii i pancernych wozów, kierujące się w stronę Buzau i Plojeszt. Po około 25 minutach mineliśmy ostatni posterunek niemiecki, gdzie eskorta zatrzymała się. Dalszy marsz odbywał się bez zakłóceń.

Zorientowałem się, że brak jest 2 furgonów działu finansowego dywizji, po godzinie wozy te dopędziły nas. Z jakiegoś powodu zamarduzili w mieście, a kiedy wjechali za miastem na niemiecki teren wojskowy, rozbrojono ich i bez eskorty puszczono dalej. Tak więc mieliśmy pierwsze „ofiary” wojny z dotychczasowym sojusznikiem.

W późniejszym marszu spotkałem Niemców jeszcze tylko raz w Targoviste (Targowiszte). Był to duży oddział jeńców pod strażą Rumunów, w marszu śpiewali i pokrzykiwali radośnie „für uns Krieg ist schon aus!”.

Dalszy marsz odbywał się spokojnie, nasza żandarmeria informowała o miejscach koncentracji poszczególnych jednostek i punktach zaopatrzeniowych. Niemające jeszcze łączności rozdrobnione grupy i kolumny dywizji stopniowo łączyły się w większe oddziały. Zaopatrzenie co dzień było lepsze, często oczekiwały nas kotły z ciepłą „czorbą” (zupa). Jak zwykle, kiedy niebezpieczeństwo minęło pojawiało się coraz więcej wyższych oficerów, którzy próbowali (zresztą bez większego powodzenia) wprowadzić zwykły dryl wojskowy.

Pod koniec miesiąca spotkaliśmy majora Eftimescu, którego ostatni raz widziałem przejeżdżającego obok nas w dniu 21 sierpnia. Z dużą satysfakcją zameldowałem o utracie furgonu i koni wysłanych z jego rozkazu po pozostawione w Jasach podkowy, tym razem przyjął meldunek spokojnie.

Nowi sojusznicy dopędzili nas chyba w trzecim lub w czwartym dniu po kapitulacji. Przechodząc w południe przez małe miasteczko, wstąpiłem z kolegami do karczmy, aby coś zjeść. Po chwili wpadł do karczmy żołnierz, krzyknął „vine Ivan!” (nadchodzi Ivan) i wybiegł na ulicę. I my poszliśmy popatrzeć na „nowych sojuszników”. Nadjechała zmotoryzowana kolumna: na czele odkryta ciężarówka z pięcioma kabinami maszynowymi i obsługą, za nią kilka ciężarówek z wojskiem, na końcu dwa łaziki z oficerami; samochody były amerykańskie. Był to chyba jakiś wybrany oddział, później spotykane oddziały przedstawiały

się znacznie gorzej, niektóre wyglądały wręcz jak stado maruderów albo dezerterów.

W Targowiszte dołączył do ambulansu przebywający tam na urlopie szef dr Strutyński, którego spotkaliśmy na ulicy. Zbliżaliśmy się do Craiovei, gdzie mieszkała matka, trasa naszego marszu omijała miasto. Za zgodą doktora Strutyńskiego urwałem się na dwa dni. Po tym krótkim „urlopie” do znanego mi miejsca koncentracji dojechałem pociągiem.

Po kapitulacji Rumuni rozbroili znajdujące się w kraju wojska niemieckie i internowali w obozach. Niektórym jednak jednostkom niemieckim stacjonującym blisko Węgier udało się przejść granicę w pełnym składzie. Na Węgrzech powstał nowy front, Niemcy i Węgrzy stawiali opór początkowo tylko Rumunom, później także sowietom, którzy przeszli przez Rumunię już jako sojusznicy i dotarli na Węgry w połowie września.

Nasza dywizja koncentrowała się w kilku miejscowościach leżących wzdłuż jednej z głównych tras przemarszu sowietów na Węgry. Ambulans i ósmy pułk rosiorów stały w odległości około 4 kilometrów od miejsca postoju komendy dywizji. Ambulans zakwaterował się przy drodze dojazdowej w odległości około pół kilometra od głównej szosy. Sowietów poprzedzały prawdziwe wieści i wyolbrzymione plotki o ich zachowaniu się: gwałtach, rabunkach, nieprzestrzeganiu warunków kapitulacji. Miejscowa ludność ze strachem oczekiwała przybycia nowych „sojuszników”. Inteligencja: pop, nauczyciele, urzędnicy gminni wysłali rodziny do miejscowości oddalonych od głównych szlaków komunikacyjnych.

Któregoś ranka na początku września pojawili się na szosie sowietci, zaraz wyszliśmy popatrzeć na zwycięską armię. Gdy w połowie drogi do szosy przechodziliśmy obok domu popa, usłyszeliśmy za żywopłotem serię strzałów. Zajrzeliśmy na podwórze: jeden sowiet kręcił się z pepeszą w ręce, drugi zbierał postrzelane indyki, gęsi i kury. Stojący na ganku pop rozpacział, łamał ręce i płakał, wezwał nas na świadków swojej krzywdy i odgrażał się, że będzie żądał od sowietów odszkodowania za poniesioną stratę. Z trudem dał sobie wytłumaczyć, że żaden sowiet nie będzie słuchał jego skarg, a w ramach odszkodowania może go spotkać mordobicie lub coś gorszego.

Na zatłoczonej szosie szły w 2 rzędach niekończące się kolumny konne i małe grupy pieszych. W tej zbieraninie najrozmaitszych pojazdów widać było typowe furgony wojskowe rumuńskie i niemieckie, niektóre miały jeszcze znaki jednostek. Większość stanowiły podwoje wiejskie o różnych kształtach typowych dla północnych regionów Rumunii. Na wielu widoczne były blaszane tabliczki z nazwiskami właścicieli i znanymi nazwami miejscowości rumuńskich. Trzecią grupę stanowiły różne dwukołowe i czterokołowe pojazdy resorowe. Wojskowe furgony były niewątpliwie zdobyczne, natomiast ogromna większość nietypowych pojazdów pochodziła najprawdopodobniej z rabunku już po kapitulacji. Ładunki w wozach krytych brezentowymi budami nie były widoczne. Natomiast zawartość wozów odkrytych niczym nie przypominała materiałów wojskowych. Czego tam nie było! Naczynia kuchenne, narzędzia rzemieślnicze, krzesła, fotele, pełne worki, z niektórych wozów dochodziło pokwikiwanie świń, na innych leżały związane owce i cielęta, w kojcach najrozmaitszy drób, na jednym wozie w ogromnej klatce para pawia; za niektórymi wozami szły uwiązane krowy i konie. Pieszne grupy żołnierzy szły bez broni z zawieszonymi na ramieniu lub przy pasie typowymi „mieszoczkami” – woreczkami zastępującymi plecaki. Podoficerów widać było niewiele, oficerów prawie wcale.

Między wozami kręcili się cywile – mieszkańcy wsi handlujący z „wyzwoleńczą” armią. Szosa wyglądała jak bazar, kwitł handel wymienny, za wódkę lub samogon można było nabyć dosłownie wszystko.

Po jakiejś pół godzinie przyglądania się temu barwnemu przemarszowi sojuszników minął mnie wóz z uwiązanym z tyłu ładnym koniem. Podbiegłem, aby mu się przyjrzeć, co widząc, woźnica zszedł z wozu i pokazując ręką tego konia, z trudem wyjąkał po rumuńsku „cumpara” – kup. Potraktowałem go papierosem, zapaliliśmy, zapytałem po rosyjsku, co chce za konia. Zażądał 5 litrów spirytusu, po krótkim targu nabyłem konia za 3 litry. Kazałem zjechać z szosy i porozować jakąś naprawę. Towarzyszącego mi sanitariusza wysłałem do kwatery po spirytus, sam zaś pilnowałem, aby chłop nie sprzedał konia komu innemu, zanim nadejdzie spirytus. Po kilkunastu minutach wrócił sanitariusz. Zadowolony z transakcji wróciłem na kwaterę, gdzie mogłem konia dokładnie oglądnąć i wypróbować pod siodłem.

Koń nie był mi potrzebny, nabyłem go z myślą, że szybko znajdę kupca i zdobędę trochę gotówki. Nie zawiodłem się, już następnego dnia znalazł się kupiec. Odwiedził mnie znajomy porucznik ze sztabu dywizji, w rozmowie wspomniał, że szuka konia, gdyż swego utracił w odwrocie. Pokazałem mój nabytek, spodobał mu się. Oglądając go szczegółowo, wypróbował pod siodłem i szybko doszliśmy do porozumienia. Obaj byliśmy zadowoleni, ja nie musiałem szukać kupca, on tanio kupił dobrego wierzchowca.

Któregoś dnia pojechałem wozem do sąsiedniej wsi, gdzie miałem odebrać z magazynu jakieś materiały. Na miejscu zastałem sześciu wachmistrzów z pułku, którzy odbierali materiały dla swoich szwadronów. Związane z tym formalności przeciągnęły się do południa. Zjedliśmy obiad w kantine i około godziny 15 wyjechaliśmy, razem 7 wozów. Sowietów na drodze nie było. Kiedy w połowie drogi do naszej wsi mijaliśmy mały lasek, zatrzymał nas nadjeżdżający konno z przeciwnej strony starszyna. Wachmistrze, wiedząc, że znam rosyjski, oddelegowali mnie do rozmowy z nim. Na pytanie, o co chodzi, usłyszałem odpowiedź „dawaj podwody, są potrzebne do odwiezienia osłabionych marszem żołnierzy, po odwiezieniu ich na miejsce wozy wrócą”. Zaczęła się dyskusja, oświadczyłem, że bez rozkazu naszych dowódców nie możemy dać wozów, on jednak cały czas wykrzykiwał swoje „dawaj podwody”. Na moją propozycję powrotu do odległej o 2 kilometry wsi, gdzie znajdują się komendy nasza i jego, które rozstrzygną spór, usłyszałem „mał’ twojej i mojej komendy ... ja sam komandir, nikt nie ma mi nic do rozkazywania”. W międzyczasie zebrało się przy nas kilkunastu sowieckich piechurów, niektórzy mieli karabiny. Wciąż jeszcze nie dawałem za wygraną, lecz wszystkie moje argumenty kwitował krzykiem „dawaj podwody” i coraz obfitszymi przekleństwami od maci. Wreszcie wyjął rewolwer i krzycząc swoje „dawaj podwody”, celował we mnie. Cofnąłem się nieco i powiedziałem: „towariszcz, trzeba było od początku użyć tego argumentu, nie tracilibyśmy niepotrzebnie czasu”. Zebrani wokół starszyny żołnierze także zaczęli sięgać po karabiny. Widząc zachowanie się sowietów, wachmistrze i żołnierze zeszli z wozów. Memu żołnierzowi, który powiedział, że pojedzie i przy pierwszej sposobności ucieknie, kategorycznie kazałem

zejść z wozu. Na wozie leżały odebrane od szewca moje buty, starszyzna widząc, że je zabieram, znowu groził rewolwerem i wykrzykiwał, że wszystko, co jest na wozach, ma tam zostać. Nie zważając na niego, odkrzyknąłem „sapogi sobstwiennyje” i buty zabrałem.

Zebrani sowietci wleźli na wozy i pod wodzą starszyny odjechali. My poszliśmy na skróty, po pół godzinie znaleźliśmy się we wsi, gdzie witano nas jak zmartwychwstałych. Krótco przed naszym „spieszonym” powrotem nasi żołnierze zobaczywszy na szosie dobrze im znane konie i wozy pełne sowietów, zorientowali się, co nas spotkało.

Następnego dnia wysłaliśmy do dywizji wspólnie opracowany raport, który (o dziwo) przyjęto spokojnie. Po kilku dniach przesłuchano nas i na tym sprawa skończyła się. Podobne zdarzenia nie należały w tym okresie do rzadkich, nie było sposobu zapobiegania im i z konieczności musiano się z tym godzić. Tak więc na własnej skórze odczuliśmy, zresztą łagodnie, przyjaźń naszego sojusznika. Mogło być gorzej, bywały przypadki kończące się szpitalem, a nawet pogrzebem.

Przed wsią płynął płytki strumień o piaszczystym dnie. Od szerokiego na kilka metrów nurtu wody do obydwu stromych, wysokich na około dwa metry brzegów rozciągały się kilkunastometrowe ławice piasku. Konfiguracja terenu wskazywała, że strumień po opadach w górnym biegu staje się szeroko rozlaną i głęboką rzeką.

Chyba po tygodniu od przybycia ambulansu wjechały do wsi 4 sowieckie czołgi, strumień przebyły brodem obok drewnianego mostu, który pod ich ciężarem mógł zawalić się. Nasi żołnierze szybko dowiedzieli się, że w następnym dniu mają przybyć jeszcze 3 czołgi, po czym wszystkie odjadą w kierunku frontu.

Od kilku dni pogoda była zmienna, a w dniu przyjazdu czołgów rozpadało się na dobre, ulewny deszcz padał do rana. Wieczorem strumień zaczął przybierać, we wczesnych godzinach rannych słychać było we wsi szum wezbranej wody. Około godziny 9 poszedłem popatrzeć na strumień. Widok był groźny, łagodny jeszcze wczoraj strumień przekształcił się w szeroko rozlaną i głęboką rzekę. Brudna i spieniona woda niemal sięgała mostu i miejscami przelewała się przez wysokie i strome brzegi.

Na moście stały załogi wczoraj przybyłych czołgów oraz kilku naszych żołnierzy i mieszkańców wsi. O godzinie 11 nadjechały

oczekiwane czołgi i zatrzymały się przed mostem. Załogi wyszły i zaczęły naradzać się z oczekującymi na moście sowietami. Przyglądali się mostowi, mocno gestykulowali, głośno pokrzykiwali i klęli. Po chwili kierowcy wrócili do maszyn i cofnęli je do miejsca zjazdu z szosy do brodu; wyglądało na to, że zamierzają przebyć rzekę w bród. Miejscowi chłopci, widząc te poczynania, próbowali gestami powstrzymać sowietów. Chłopci, którzy wiedzieli, że mówię po rosyjsku, prosili, abym wytłumaczył ich komendantowi, że w obecnym stanie głębokość w środku koryta sięga trzech lub więcej metrów, woda do jutra opadnie i można będzie przepłynąć na drugi brzeg bez ryzyka. Tłumaczyłem lejtnantowi ostrzeżenia chłopów, dobrze znających kaprysy strumienia, lecz bez skutku. Załogi jeszcze przez chwilę dyskutowały, po czym lejtnant wszedł do czołgu, z otwartym włazem wjechał w wodę i powoli oddalał się od brzegu. Czołg stopniowo zanurzał się, a w połowie koryta nagle zapadł się i woda zaczęła wlewać się do wnętrza. W tym momencie we włazie pojawił się lejtnant, wskoczył do rzeki i popłynął do brzegu. Po chwili czołg pokryła woda, wystawał tylko koniec lufy działa. Sowietci pokrzykiwali jeszcze krótki czas, po czym pozostałe na szosie dwa czołgi odjechały, załoga zatopionego poszła do wsi, na moście pozostał strażnik. Ludzie przyglądający się tej „akcji bojowej” rozeszli się. Z czołgów, które przyjechały poprzedniego dnia, trzy odjechały, jeden pozostał, aby wyciągnąć z rzeki zatopioną maszynę. Tak skończył się pierwszy akt.

Woda zaczęła opadać w nocy, rankiem było widać otwarty właz, do wieczora wynurzyła się wieżyczka. W ciągu trzech dni strumień powrócił do normalnego stanu, lecz nad powierzchnię wody wystawała tylko wieżyczka i kilkanaście centymetrów korpusu, reszta czołgu tkwiła głęboko w dnie. W środku koryta ciężki czołg zapadł się w rozmiękłe dno, a piasek niesiony wodą osadzający się we wszystkich załomach korpusu od strony jej prądu unieruchomił, można powiedzieć „zamurował” czołg.

Piątego dnia nastąpił akt drugi – próba wydobycia. Patrząc na przebieg i wykonanie tej akcji, można było podziwiać bezmyślność wykonawców, lub podejrzewać, że robią wszystko, aby nie wydobyć czołgu. Nikt nie zbadał, jak głęboko czołg tkwi w piasku, czy nie trzeba go podkopać.

Cała „akcja ratunkowa” trwała kilkanaście minut. Około godziny 10 nadjechał od strony wsi czołg i zatrzymał się w odległości 2 metrów od prostopadle opadającego brzegu. Dwaj żołnierze weszli do wody i zaczepili żelazną linę do zatopionej maszyny, po czym na brzegu kierowca uruchomił silnik. Lina, zwisająca początkowo luźno, nawijała się przez chwilę na kabestan, a gdy już naprężyła się kabestan dalej ją nawijał, lecz czołg w strumieniu nawet nie drgnął, natomiast ratowniczy czołg szybko przesunął się do przodu, a osiągnąwszy stromy brzeg, spadł i stanął pionowo z lufą działa wymierzoną w niebo. Żołnierze pokręcili się jeszcze parę minut i odeszli. Tak skończył się drugi akt przedstawienia zaprezentowanego przez sojuszników.

Oczekiwałem jeszcze, że żołnierze podkopią stromy brzeg, aby ratowniczy czołg doprowadzić do pozycji poziomej, usunąć piasek unieruchamiający zatopioną maszynę i wyciągnąć ją, lecz tak się nie stało. Żołnierze jeszcze przez 3 dni kręcili się po wsi i nad strumieniem, po czym znikli. Wokół porzuconych maszyn zaczęli kręcić się miejscowi chłopcy, początkowo tylko w nocy, później przestali się kryć i demontowali z obu czołgów, co się dało.

Zdemobilizowano mnie pierwszego października. Kiedy wyjeżdżałem, obydwa czołgi, a raczej wraki, tkwiły na swoich miejscach.

Mniej lub bardziej zdeorganizowane oddziały i służby dywizji gromadziły się w miejscu koncentracji do połowy września (1944 roku). Później nadchodzili jeszcze pojedynczy uciekinierzy z niewoli i kombinatory, którzy korzystając z ogólnego bałaganu, załatwiali własne ciemne interesy.

Ambulans przybył na miejsce koncentracji w pierwszych dniach września, chyba piątego lub szóstego. Z przecieków wiadomo było, że jednostki wycofane ze wschodniego frontu będą zdemobilizowane. Po 2 dniach dostaliśmy rozkaz rozwiązania ambulansu, to jest przekazania go jednostce macierzystej – ósmemu pułkowi rosiorów.

Szef i ja zabraliśmy się do sporządzania protokołu strat i protokołu zdawczo-odbiorczego ambulansu. W połowie września protokół strat był gotów, lecz nie pamiętam, z jakiego powodu nie oddaliśmy go.

Większość jednostek piątej dywizji, w tym także ósmy pułk rosiorów, miała siedzibę w miejscowościach zajętych przez sowietów przed

i po kapitulacji. Odzież cywilna żołnierzy zmobilizowanych przez te jednostki pozostała w koszarach. Obecnie dywizja stacjonowała w odległości 800 do 1200 kilometrów od miejsc stałego zamieszkania demobilizowanych żołnierzy. Komunikacja była całkowicie zdeorganizowana, przepełnione pociągi kursowały nieregularnie, podróż na dystansie kilkuset kilometrów trwała co najmniej 2-3 dni, często dłużej, zwłaszcza do miejscowości bardziej odległych od głównych linii kolejowych.

W połowie września (1944 roku) rozpoczęła się demobilizacja. Pierwszych rezerwistów powracających do cywila zobaczyłem 20 września. Oto jak wyglądali: większość bosy i tylko w białej bieliźnie, mało który był ubrany w zniszczone cywilne łachy, a tylko wyjątkowo okryty płaszczem lub kocem. Na drogę dostawali suchy prowiant: bochenek chleba i ćwierć kilograma surowej słoniny. Tak oto wyglądała demobilizacja „po rumuńsku”! Odchodzący do cywila musiał zdać swój ekwipunek, a że nie ma się w co ubrać, gdyż jego rzeczy cywilne pozostały w koszarach na terenach okupowanych przez sowiety nikogo nie obchodziło.

Stacje kolejowe zaroily się na wpół ubranymi mężczyznami. Patrząc na tych nieszczęsnych rezerwistów, postanowiłem dać żołnierzom ambulansu płaszcze, obuwie i po jednym kocu. Mogłem to zrobić tylko przed oddaniem protokołu strat i przekazaniem ambulansu. Jak wspomniałem, protokołu strat jeszcze nie oddałem, nie miałem więc najmniejszych trudności z rozliczeniem tych materiałów. Sporządziłem nowy protokół, w którym prócz wcześniej spisanych materiałów ująłem także rozdane płaszcze, kocy i obuwie. Ambulans w swoim wyposażeniu miał kilkanaście sort mundurowych, z których płaszcze i obuwie rozdane żołnierzom „utraciłem” w czasie odwrotu. Dając te rzeczy żołnierzom, powiedziałem, że robię to wbrew rozkazom, a ich głowa w tym, aby przy zdawaniu ekwipunku ukryli je.

Było to niewątpliwie przestępstwo, popełniłem je świadomie i bez obawy. Nie takie rzeczy działy się w wojsku. Powszechnie było wiadomo, że po każdym przerwaniu frontu i odwróceniu protokoły strat sporządzano na wyrost. Zawarte w nich dane przepisywano do dokumentów zbiorczych i na tym sprawa kończyła się.

Podobnie jak ja postępowali także niektórzy wachmistrze szefowie szwadronów. Mnie było łatwo, bo miałem tylko piętnastu żołnierzy, oni musieli bardziej gimnastykować się przy sporządzaniu

protokółów strat i niewielu żołnierzom mogli pozostawić mundury, każdemu inną część.

Formalności związane z rozwiązaniem ambulansu załatwiłem w ciągu 2 dni. Materiały sanitarne i archiwum przekazałem ambulansowi pułkowemu; ludzi, konie, wozy i wszelkie inne materiały szwadronowi zapasowemu. Z jednej strony szef ambulansu dywizyjnego podporucznik dr Strutyński i ja, z drugiej szef ambulansu pułkowego i dowódca szwadronu zapasowego podpisaliśmy protokoły zdawczo-odbiorcze w dniu 29 września 1944 roku. Z wykazu przekazanych materiałów sanitarnych skreślono spirytus, część jego wypito przy podpisywaniu protokółów, butelki z resztą „stłukły się” przy przekazywaniu.

Pierwszego października 1944 roku zostałem zdemobilizowany w stopniu „plutonier T.R.” (polski odpowiednik – sierżant podchorąży). Moja (z przerwami) prawie siedmioletnia służba w wojsku ich królewskich mości królów Rumunii Karola II i Michała I dobiegła końca. Choć nie było mi danym uczestniczyć w zwycięstwach tej armii, to moje zapotrzebowanie na bohaterskie czyny zostało w pełni zaspokojone udziałem w jej walecznych odwrotach.

Wspomnienia te spisałem w okresie od stycznia 1991 roku do grudnia 1992 roku w mieszkaniu przy ulicy Kozanowskiej 32/7 (Wrocław).

Michał Bohosiewicz

\* \* \*

25 grudnia 1992 roku minęło 50 lat od rozpoczęcia odwrotu z Salskich Stepów.

W połowie marca 1994 roku minęło 50 lat od ostatniej bytności w domu w Baniłowie (Rumunia).

23 sierpnia 1994 roku minęło 50 lat od dnia kapitulacji Rumunii.

23 sierpień 1944 roku – dzień ten był świętem narodowym Rumunii do czasu rozpadu reżimu komunistycznego. Święto to nazywało się: „ZIUA ELIBERAREI”, czyli „dzień wyzwolenia”, ładnie? nie?

Przezwrot w Rumunii miał miejsce 22 grudnia 1989 roku – Ceaușescu został aresztowany, osądzony, skazany i rozstrzelany.

Michał Bohosiewicz

## Handel z Sowietami

Po demobilizacji w październiku 1944 roku zacząłem pracować w biurze transportowym w Craiovei. Poza tym handlowałem na czarnym rynku, czym się dało: walutą, cukrem, mydłem, złotem, żyłkami itp. Front przesunął się daleko na zachód, we wszystkich większych miastach stały sowieckie garnizony. Kwitł handel z sowietami, kupowało się najrozmaitsze rzeczy. Handel ten rozwijał się szczególnie po kapitulacji Niemiec, kiedy żołnierze jednostek powracających „na rodzinu” pozbywali się „trofeów” zdobytych w czasie ofensywy i stacjonowania na Węgrzech i w Niemczech.

W jesieni 1944 roku, jadąc pewnego dnia naszą biurową ciężarówką, natknęliśmy się na stojącą na poboczu drogi ciężarówkę sowiecką, kierowca jej dłubał w motorze. Zatrzymaliśmy się i zapytaliśmy, czy nie trzeba mu jakiejś pomocy. W odpowiedzi usłyszeliśmy: „kup kauczuk (oponę)”. Nie zdziwiło to nas, bowiem w owym czasie transportowcy często kupowali opony od sowietów. Walutą obiegową w tych transakcjach był najczęściej spirytus, nasi kierowcy zawsze mieli ze sobą kilka litrów spirytusu lub bimbru. Sowiet żądał za oponę 4 litry spirytusu, po krótkim targu ugodziliśmy się na 2 litry bimbru i pół litra wódki. Sowiet nie miał w wozie opony, po prostu odkręcił jedno tylne koło i wrzucił do naszej ciężarówki.

Innym razem przyszedł do biura starszyna i zaproponował kupno opony, uzgodniliśmy cenę, tym razem za pieniądze, obiecał dostarczyć ją wieczorem. Po zachodzie słońca podjechał ciężarówką i wtoczył do biura fabrycznie nową amerykańską oponę.

W jesieni 1945 roku pewnemu Żydowi, także zajmującemu się transportem, oficer sowiecki sprzedał tanio 15 nowych opon. Przywiózł je ciężarówką, wziął pieniądze i odjechał. Po 2 godzinach zjawiono się u Żyda 3 oficerów, wśród nich major, którym towarzyszyło 6 uzbrojonych żołnierzy. Oświadczyli, iż przyszli go aresztować i odebrać skradzione opony. Żyd nawet nie próbował tłumaczyć się, gdyż opony leżały w pomieszczeniu. Bronił się przed aresztowaniem, co mu się zresztą łatwo powiodło, gdyż sowietci nie mieli najmniejszego zamiaru tego uczynić, chodziło im jedynie o odbiór opon.

Transakcja była z góry zaplanowana, sprzedający i odbierający opony byli współnikami i działali w porozumieniu. W owym czasie sowiet panoszyli się w Rumunii i korzystając z tego, że ludzie bali się ich, opracowali łatwy i bezpieczny sposób zarobkowania. Podobne wydarzenia miały miejsce także w innych miastach.

Kilka tygodni później zjawił się w naszym biurze lejtnant i zaproponował sprzedaż 6 opon. Pamiętając o tym, co spotkało Żyda, który kupił 15 opon, zaproponowałem tak niską cenę, że, moim zdaniem, nie powinien był jej przyjąć, on jednak skwapliwie zgodził się. Z myślą, aby zabezpieczyć się przed utratą opon, umówiłem się z nim, że przywiezie je za 2 godziny. Po jego wyjściu zatelefonowałem do znajomego Żyda, właściciela furgonetki, opowiedziałem o transakcji i zaproponowałem, aby był współnikiem. Umówiłem się z nim, że zaraz przyjedzie i będzie czekał na opony przed tylnym wejściem do biura. Wspólnik wkrótce przybył, sowiet zjawił się punktualnie po 2 godzinach, wtoczył opony do biura, wziął pieniądze i odszedł. Oczekująca furgonetka natychmiast odwozła opony w bezpieczne miejsce. Nie minęła godzina i pojawili się trzej oficerowie, historia powtórzyła się jak przed kilku tygodniami u Żyda, z tą różnicą, że opon w pomieszczeniu nie było. Tłumaczyłem, że żadnych opon nie kupowałem, oni jednak nie ustępowali w swych żądaniach zwrotu, grozili, że wezwą policję. Odpowiedziałem, że gdybym istotnie kupił opony, jak twierdzą przed godziną, to przecież byłyby w pomieszczeniu. Oni byli zorientowani, że biuro ma magazyn i podejrzewając, że tam je ukryłem, z pogrózkami domagali się pokazania, co się w nim znajduje. Otworzyłem magazyn, w którym oczywiście niczego nie znaleźli. Pokrzykiwali jeszcze jakiś czas, szeptali między sobą, w pewnym momencie usłyszałem, jak jeden zaklął półgłosem: „mał' jewo..., wot sukinsyn... czto on zdiełał z kauczukami?!”. Wreszcie odeszli. Zarobiliśmy na tych oponach ładny grosz.

W listopadzie 1945 roku codziennie o godzinie 11 przechodził obok biura starszyna w hełmie i z pepeszą. Któregoś zimnego i deszczowego dnia wszedł do biura i poprosił, że chciałby się ogrzać, oczywiście zgodziłem się. Usiadł i po chwili wyjął z polowej torby butelkę i spytał „wypijesz?”. Wyjąłem z szafki 2 musztardówki, nalał, wypiliśmy. Niebo w gębie! Była to palinka z moreli, czegoś tak dobrego dawno nie

piłem. Wypiliśmy jeszcze po jednej stopce. Zauważyłem, że ma w torbie jeszcze 2 butelki, spytałem, czy zawartość jest taka sama, potwierdził i zaproponował mi kupno, na co chętnie zgodziłem się. Z myślą o zakupie większej ilości, spytałem skąd ma palinkę. Odpowiedział, że w ramach odszkodowań wojennych co pewien czas nadchodzi transport palinki z Węgier. Sprzedają ją w wojentorgu w ograniczonych ilościach, nie co dzień jednak można ją kupić. Umówiłem się z nim, że kupię każdą ilość palinki. Wiedziałem, że taka wódka zawsze znajdzie amatorów, którzy dadzą dobrą cenę. Moje przewidywania sprawdziły się, w tym samym dniu sprzedałem obydwie butelki z dobrym zyskiem.

Handel rozwijał się pomyślnie, co kilka dni przynosił 2-5 butelek. Zapotrzebowanie przekraczało dostawy. Chciałem, aby przynosił więcej, lecz on tłumaczył, że jest to bardzo chodliwy towar i, jak wspominał, sprzedaje się w ograniczonej ilości.

Któregoś dnia przyszedł dość wcześnie, powiedział, że nadszedł właśnie większy transport palinki, magazynier jest człowiek „ludzki” i także chce zarobić. Jeżeli pójdzie zaraz może przynieść nawet 50 litrów. Jeżeli chcę, aby przyniósł taką ilość, to muszę dać pieniądze, gdyż on nie ma. Postanowiłem zaryzykować, na dotychczasowym handlu zarobiłem więcej, niż trzeba było wyłożyć. Dałem mu pieniądze i ujrzawszy, co on robi, osłupiałem. Otóż zdjął hełm, pepeszę i torbę, włożył na głowę furażerkę i powiedział, abym pozostawione rzeczy przechował do jego powrotu, nie może bowiem iść po wódkę z bronią. Poszedł, a ja nie myślałem o utracie pieniędzy, zastanawiałem się tylko, co mnie czeka, gdyby ktoś zobaczył te rzeczy w biurze. Na myśl, że mogłoby mu przyjść do głowy zostawić ten cały kram i zniknąć z pieniędzmi, dostawałem gęsiej skórki. Na szczęście wszystko skończyło się dobrze, po godzinie zjawił się, dźwigając 2 oplecione „damidżany” (butle po 25 litrów). Rozsprzedałem to w krótkim czasie.

Handel ku obopólnemu zadowoleniu rozwijał się pomyślnie. Palinka nie była jedynym towarem, przynosił z wojentorgu mydło, wodę kolońską, żyletki, czekoladę – towary, których w handlu nie było, a na czarnym rynku osiągały wysoką cenę. Kilkakrotnie sprzedał mi po kilkaset rubli, które w owym czasie były walutą poszukiwaną przez handlarzy.

Któregoś dnia przyszedł pożegnać się, gdyż wraca „na rodzinę”. Przyprowadził kolegę, przedstawił go i powiedział, że on może przynosić mi z wojentorgu wszystko, co mi będzie potrzebne. Wypiliśmy na pożegnanie po stopce palinki. Po wyjściu towarzysza dotychczasowy mój kontrahent szybko powiedział: „no nie dawaj mi pieniędzy awansem, jak dawałeś mnie”. Z usług nowego dostawcy korzystałem krótko, gdyż zanadto śrubował ceny.

Czarnorynkowi handlarze pomagali sobie w miarę potrzeb. Był między nimi Żyd, nazwiska nie pamiętam, ważący około 120 kilogramów, przed wojną właściciel sklepu komisowego. Głównym jego zajęciem, zarówno przed wojną, jak i teraz, był handel walutą na czarnym rynku, bowiem w Rumunii już na kilka lat przed wojną oficjalny obrót walutami dozwolony był tylko bankom. W czasie wojny i po jej zakończeniu handlował jak wielu innych czym się dało. Któregoś dnia jesienią 1945 roku poprosił mnie przez telefon, abym przyszedł i pomógł mu porozumieć się z sowieckim oficerem. Od pułkownika kupował „trofejnny” motocykl, trzykołowy, wojskowy Zundapp, przemalowany na kolor „cywilny”. Pośredniczyłem w charakterze tłumacza, po długich targach kupił motor za psie pieniądze. Pułkownik wziął pieniądze i rozgoryczony spytał mnie: „Jak to jest u was, jeżeli ja coś kupuję, to muszę płacić bardzo drogo, jeżeli zaś chcę coś sprzedać, to dostaję mało”. Żyd spytał, o co jeszcze chodzi, przetłumaczyłem mu uwagę pułkownika i usłyszałem: „powiedz mu, że istotnie jest tak jak mówił, a to dlatego, że w ich konstytucji mówi się o demokracji i elektryfikacji, a w naszej prócz tego jeszcze o spekulacji”.

Pewnego dnia wszedł do biura sowiecki żołnierz i spytał: „kupisz marki?”. W tym czasie oddziały sowieckie wracały do kraju, niektórzy żołnierze prócz najrozmaitszego „trofejnego” dobra mieli także zachodnie okupacyjne marki, dość wysoko notowane przez waluciarzy. Spytałem ile tych marek ma, odpowiedź brzmiała: 200 000. Myśląc, że kroi mi się dobry interes, poprosiłem, aby je pokazał. Wyjął z notesu złożony jeden banknot, rozwinął i okazało się, że jest to istotnie 200 000, ale z roku 1921 czy 1922, kiedy w Niemczech szalała inflacja. Nie chciałem rozwiewać mu nadziei, jaką wiązał z taką ilością marek, powiedziałem więc, że to jest dużo warte, ale nie mam tyle pieniędzy, aby

kupić samemu. Posłałem go do Żyda, któremu stargowałem motocykl, zapewniając, że on na pewno kupi.

Nazajutrz spotkałem się z Żydem, który kilku towarzyszącym mu handlarzom opowiadał, jak to wczoraj Sowiet zaoferował mu 200 000 inflacyjnych marek, żądając mnóstwo pieniędzy. Sowiet powiedział, że był już u jednego handlarza, który zapewnił go, że marki są bardzo dużo warte, ale on nie ma tyle pieniędzy, aby je kupić i dał mu adres Żyda. Opowieść zakończył: „ciekaw jestem, kto posłał do mnie takiego klienta?”. Powiedziałem mu: „postaw dobry koniak, a ja powiem kto ci zrobił przyjacielską przysługę”. Poszliśmy do knajpy, Żyd zafundował całemu towarzystwu koniak, a ja przyznałem się do autorstwa kawału.

### **Kilka spotkań z wojskiem rumuńskim po demobilizacji**

Trzy czy cztery tygodnie po powrocie do cywila zatrzymał mnie patrol i bez żadnych wyjaśnień doprowadził do komendy miasta. Tam poinformowano mnie, że jest rozkaz, aby odebrać cywilom znalezione u nich rzeczy wojskowe i karać ich grzywną, a ja właśnie miałem na nogach „bokańcze” (wojskowe trzewiki). Sprawa szybko wyjaśniła się, gdyż był wcześniejszy rozkaz, aby podoficerom rezerwy stale stacjonującym w miejscowościach zajętych przez sowietów przed kapitulacją, demobilizowanych jesienią 1944 roku, pozostawiono mundur, parę obuwia i 2 zmiany bielizny. Byłem podoficerem 8 pułku „rosiorów”, stacjonującego w Botoszanach, miejscowości zajętej wiosną 1944 roku. Zdemobilizowano mnie 1 października 1944 roku, podlegałem więc wspomnianemu rozkazowi. Pokazałem książeczkę wojskową, oczywiście szybko mnie zwolniono, a nawet o dziwo przeproszono.

Po repatriacji i otrzymaniu w 1947 roku polskiego obywatelstwa jeszcze trzy razy zetknąłem się z umundurowanymi Rumunami.

Któregoś dnia w lipcu 1958 roku wezwano mnie do dziekana-tu, gdzie zastałem dziekana rozmawiającego z rumuńskim pułkownikiem z odznaką służby weterynaryjnej. Był to szef służby weterynaryjnej armii rumuńskiej, który dzień wcześniej przyjechał do Wrocławia z wojskową ekipą na międzynarodowe zawody konne. Korzystając

z wolnego dnia przed zawodami, chciał zapoznać się z wrocławskim wydziałem weterynaryjnym.

Oprawdzałem go do południa po wydziale i służyłem jako tłumacz w rozmowach z kierownikami katedr i klinik. Później odprowadziłem go na kwatere, gdzie poznałem zawodników: trzech poruczników i dwóch podporuczników oraz wachmistrza dozoru koni i obsługujących żołnierzy. Nie pamiętam nazwisk żadnego z członków ekipy. Zawody miały odbyć się w następnym dniu po południu. Umówiłem się z pułkownikiem, że przyjadę na stadion i w razie potrzeby będę służył pomocą jako tłumacz.

W zawodach brały udział wojskowe ekipy polska, rumuńska, czechosłowacka, węgierska i NRD.

Zawody przygotowano starannie, moja rola tłumacza ograniczała się początkowo jedynie do wyjaśniania drobnych spraw. Nabrała większego znaczenia, kiedy po skoku przez przeszkodę koń jednego z rumuńskich zawodników upadł. Przygnieciony jeździec zemdłał, a po oprzytomnieniu skarżył się na silny ból głowy i lewego nadgarstka. Pojechałem z nim karetką do szpitala, gdzie wykonano rentgena czaszki i nadgarstka i przeprowadzono inne badania. Stwierdzono jedynie pęknięcie 2 kostek nadgarstka. Nałożono gipsowy opatrunek i wróciliśmy na stadion.

Po zawodach, wieczorem odbyło się spotkanie towarzyskie zawodników i wspólna kolacja w hotelu Monopol, na którą to imprezę gospodarze (Polacy) zaprosili także mnie. Przy stole ekipy rumuńskiej było pięciu oficerów polskich, w tym dwaj z żonami. Piło się ostro. Około godziny 3 po północy jeden z Rumunów znikł, a po kilku minutach wyszła żona jednego z polskich oficerów. Żadne z nich nie wróciło już do towarzystwa. Mąż tej pani był pod dobrą datą i dopiero około godziny 5 rano, kiedy przyjęcie dobiegało końca, spostrzegł brak żony. Wypytywał gorączkowo, co się z nią stało, lecz nikt mu nie powiedział o zniknięciu jej już o godzinie 3.

Z Rumunami spotkałem się jeszcze raz przy obiedzie. Po południu pożegnałem ich na dworcu towarowym, skąd odjeżdżali. Z pułkownikiem i zawodnikiem, który znikł owej nocy z Monopoli spotkałem się w październiku 1958 roku w Bukareszcie, gdzie przebywałem służbowo. Obaj miło wspominali pobyt w Polsce, szczególnie zawodnik.

W sierpniu 1958 roku wziąłem udział w wymiennej bezdeklaracyjnej wycieczce Związku Nauczycielstwa Polskiego do Rumunii. Program przewidywał między innymi kilkudniowy pobyt nad morzem w Mamai – kąpielisku sąsiadującym z Konstancą. W programie nie było zwiedzania portu w Konstancy, lecz kiedy uczestnicy wycieczki wyrazili chęć zwiedzania, rumuński przewodnik z ramienia biura podróży „CARPATI” (odpowiednik Orbisu) obiecał załatwić tę sprawę.

Autokar z wycieczką, jadąc któregoś dnia przez Konstancę, zatrzymał się przy wjeździe do portu i przewodnik poszedł załatwić sprawę zwiedzania. Po chwili wrócił i oświadczył, że wojskowy komendant portu w zasadzie zgadza się na zwiedzanie, lecz chce przed tym uzyskać zgodę miejscowych władz partyjnych. Trzeba więc trochę poczekać, zanim załatwi się to telefonicznie. Przewodnik poszedł do biura komendanta telefonować. Po przeszło godzinie wyszedł i powiedział, że chyba trzeba będzie zrezygnować ze zwiedzania, ponieważ sprawa się komplikuje. Miejskowe władze orzekły, że zezwolenie na zwiedzanie portu przez obcokrajowców mogą wydać jedynie władze centralne w Bukareszcie. Z kolei Bukareszt powiedział, że kompetentne w tej sprawie są miejscowe władze partyjne i wojskowe. W powtórnej rozmowie z miejscowymi władzami przewodnik usłyszał to samo co wcześniej, mianowicie, że sprawa należy do Bukaresztu. Tak więc biurokratyczne koło zamknęło się.

Przewodnik był zdenerwowany i trochę przestraszony. Prosząc, abym nie powtarzał tego wycieczce, powiedział mi, że z treści przeprowadzonych rozmów jasno wynika, iż zezwolenie na zwiedzanie portu przez obcokrajowców może wydać jedynie „Siguranta” (rumuńska bezpieka), co jednak wymagałoby dłuższej procedury i oficjalnego wystąpienia biura podróży Carpati. W Polsce w 1958 roku była już zaawansowana „odwilż”, lecz w Rumunii „Siguranta” wciąż grała pierwsze skrzypce.

Powiedziałem przewodnikowi, że mimo wszystko chciałbym osobiście rozmówić się z wojskowym komendantem portu. Poprosiłem, by mi towarzyszył, zgodził się niezbyt chętnie i weszliśmy do biura.

Komendantem był kapitan w wieku około 40 lat, a więc pamiętający czasy przedwojenne. Przedstawiłem się i rozpocząłem „mowę”.

Przypomniałem, że przed wojną Rumunia i Polska miały wspólną granicę i dobrosąsiedzkie stosunki. W Polsce dobrze pamięta się serdeczne i życzliwe przyjęcie w Rumunii polskich uchodźców w 1939 roku. Dzięki przychylności władz rumuńskich, mimo nacisku Niemców, ogromna ilość polskich wojskowych wyjechała w jesieni 1939 i wiosną 1940 roku do Francji i na Bliski Wschód, gdzie od nowa tworzyło się polską armię. Polscy uchodźcy cywilni także nie zapomnieli, że dzięki materialnej pomocy rumuńskich władz i ludności spokojnie przeżyli wojnę i powrócili do kraju. Dziś nadal obydwa narody łączy przyjaźń, czego dowodem jest chociażby nasza wymienna wycieczka polskich i rumuńskich pracowników szkół wyższych. Zwiedzenie portu przez trzydziestu Polaków chyba nie zagrazi bezpieczeństwu Rumunii.

Kapitan cierpliwie wysłuchał mego „przemówienia” i zapytał, kiedy i gdzie nauczyłem się po rumuńsku. Odpowiedziałem, że pochodzę z północnej Bukowiny zajętej obecnie przez Związek Radziecki. Byłem obywatelem rumuńskim, przed wojną służyłem w 11 pułku Rosisiorów w Czerniowcach, a w czasie wojny z Sowietami przez dłuższy czas pełniłem służbę na frontach. Pokazałem mu kilka fotografii z czasu wojny – ja w mundurze w towarzystwie oficerów i żołnierzy.

Przyjrzał się fotografiom, po czym rzucił kilka pytań odnośnie mojej służby na froncie w ostatniej fazie wojny z Sowietami. Odpowiedziałem, że kilka tygodni przed kapitulacją Rumunii moja jednostka stacjonowała na froncie pod Jasami. O kapitulacji dowiedziałem się w czasie odwrotu po południu 23 sierpnia 1944 roku, kilka godzin przed przekroczeniem Seretu. Po chwili kapitan powiedział: „No więc jesteście towarzyszami broni, ja także byłem pod Jasami i 23 sierpnia wieczorem przekroczyłem Seret. Z rozmów przeprowadzonych przez waszego przewodnika widzi pan, jak wyglądają dzisiaj pewne sprawy w Rumunii. Powinienem stosować się do moich przepisów i nie wpuścić was do portu, jednak zgadzam się na zwiedzenie portu, a pana proszę o dopilnowanie, aby w obrębie portu nie fotografowano”.

Tak skończyło się drugie powojenne spotkanie z rumuńskim oficerem. Z tych kilku zdań kapitana mogłem wnioskować, że gdyby przy naszej rozmowie nie był obecny rumuński przewodnik usłyszałbym może parę słów mniej błagonadiożnych.

W jesieni 1972 roku byłem w Rumunii służbowo. Po załatwieniu pewnych spraw w Jasach, wracałem do Bukaresztu samolotem. Przed odlotem policja i żandarmeria kontrolowała dokumenty pasażerów. Do mnie podeszli dwaj podoficerowie żandarmerii, podałem im paszport, byli zdziwieni, że mówię po rumuńsku. Oddając paszport jeden z nich spytał, czy mam scyzoryk. Pokazałem mały scyzoryk z jednym ostrzem długim około 6 cm i szerokim 6 lub 7 mm. Z uśmiechem polecili mi włożyć scyzoryk do teczki, którą zabrano do przedziału bagażowego i oddano w Bukareszcie. Widziałem, że podobnie postępowano także z innymi pasażerami. Jeden z podoficerów powiedział półgłosem z przymrużeniem oka, że takie postępowanie ma na celu zapobieganie ewentualnym aktom terroru podczas lotu. No cóż, „est modus in rebus”, każdy radzi sobie, jak może.

Było to moje ostatnie spotkanie z rumuńskimi wojskowymi w mundurze.

Miałem dwa nieoczekiwane spotkania z Rumunami cywilami w moim zakładzie pracy.

Któregoś dnia przyszło do zakładu dwóch mężczyzn, jeden z nich przyniósł do badania zwłoki kury z podejrzeniem zatrucia. Było to w dniu mego dyżuru; przyjmując materiał do badania ściągnąłem wywiad. Spisując uzyskane dane przysłuchiwałem się, jak oddawca kury wyjaśnia po rumuńsku towarzyszowi jaki to jest zakład i jakie badania prowadzi. Po załatwieniu formalności z oddaniem materiału do badań spytałem po rumuńsku jego towarzysza, jak mu się podoba w Polsce. Słyszając pytanie zadane po rumuńsku, obydwaj ogromnie zdziwili się. Zaprosiłem ich do pokoju i przy czarnej kawie potoczyła się rozmowa oczywiście po rumuńsku.

Oddawca kury był Polakiem, repatriantem z Rumunii, przed kilku laty przyjechał z rodziną z czysto polskiej wsi Poiana Mikuli na Bukowinie, obecnie mieszkał w Bielawie. Towarzyszący mu Rumun był jego szwagrem, przyjechał odwiedzić rodzinę.

Wrocławski Wydział Weterynaryjny przez kilka lat prowadził wymianę studentów z Wydziałem Weterynarii Charkowskiego Instytutu Zootechnicznego. Przyjeżdżające podczas wakacji grupy studentów oprócz praktyki zapoznawały się także z organizacją i działalnością wydziału.

Któregoś lata przyjmowałem taką grupę w zakładzie. W rozmowie prowadzonej po rosyjsku spytałem kierownika grupy docenta, z jakich terenów pochodzi młodzież studiująca w Charkowie weterynary. Odpowiedział, że głównie z Ukrainy i Mołdawii, mniej z innych republik. Wspomniał, że w jego grupie jest kilkunastu Ukraińców, kilku Rosjan i dwóch Mołdawian. Usłyszawszy to powiedziałem po rumuńsku: „No, Mołdawianie meldujcie się u mnie!”. Wstało dwóch chłopaków, ogromnie zdziwionych, przedstawili się, podali nazwy rodzinnych miejscowości; jeden pochodził z Kocmania, drugi z okolicy Zastawnej.

Obydwie, znane mi miejscowości, leżą w północnej Bukowinie, która przed wojną należała do Rumunii, a po wojnie została zajęta przez Sowieców. Widziałem, że kierownik docent, nie rozumiejąc, o czym rozmawiamy, denerwuje się, zakończyłem więc rozmowę prosząc, aby przyszli do mnie następnego dnia.

Przyszli obaj, wyjaśniłem im, że pochodzę z Bukowiny, znam ich rodzinne miejscowości, do Polski przyjechałem po wojnie. Oni z kolei opowiadali, jak to „na rodzinie wolno dyszeć’ człowiek”. Po rumuńsku rozmawia się tylko w domu i z zaufanymi znajomymi. Język urzędowy rosyjski. Szkół rumuńskich na Bukowinie nie ma, książki w języku rumuńskim drukuje się cyrylicą. Życie w kolchozach ciężkie. Przedwojenną inteligencję i co bogatszych chłopów wywieziono. Pierwszeństwo mają napływowi Rosjanie, miejscowi to ludność drugiej kategorii. Dałem im 2 butelki wina, oni sprezentowali kilka widokówek z Czerniowiec i rozstaliśmy się.

Nigdy nie przeszło mi przez myśl, że we Wrocławiu spotkam się z Rumunami z zajętej przez Sowieców północnej Bukowiny. No cóż, mały jest ten świat.

## **Toksykologia i Urząd Bezpieczeństwa**

Któregoś dnia w jesieni 1953 roku około godziny 10 zjawił się w zakładzie młody facet mizernej postawy i oświadczył, że chce rozmawiać z obywatelem Bohosiewiczem. Powiedziałem: „to ja”. Machnął mi przed nosem małą, podłużną (typową) legitymacją i powiedział: „pójdziecie ze mną”. Na moje pytanie dokąd i w jakiej sprawie usłyszałem:

„do urzędu bezpieczeństwa, tam się dowiecie”. Spytałem jeszcze, czy chodzi o jakąś sprawę badaną w naszym zakładzie, jeżeli tak, to można by ją omówić na miejscu. Odpowiedź brzmiała: „no chodźcie już, przestańcie zwlekać”.

W tym czasie byłem w domu sam, Jadzia i matka od kilkunastu dni przebywały w szpitalach. Przed wyjściem powiedziałem współpracownikowi, koledze Janowskiemu: „słyszałeś naszą rozmowę, jeżeli nie wrócę do godziny 16, wiesz z kim i dokąd poszedłem i gdzie mnie w razie potrzeby szukać”. W tamtych latach nie można było przewidzieć, czym takie „grzeczne zaproszenie do UB” może się skończyć.

Przed uczelnią ani w pobliżu nie czekał na nas samochód. Pojechaliśmy tramwajem, towarzyszący mi facet zostawił mnie w biurze przepustek, sam zaś odszedł. Trochę uspokoiłem się, bo dotychczasowy tok postępowania przemawiał za tym, że moja „wizyta” w UB nie będzie chyba zbyt długa. Technika aresztowania przez bezpiekę była wówczas inna.

Po kilkunastu minutach urzędnik z biura przepustek zaprowadził mnie do „mojego ubeka”. Kiedy usiadłem, ubek wyjął z leżącej przed nim na biurku teczki papiery, wśród których zobaczyłem dobrze znany mi formularz protokołu badań wykonywanych w naszym zakładzie. Było jasne, że nie chodzi o moją osobę, tylko o jakąś sprawę badaną w naszym zakładzie. Podał mi nasz protokół i zaczął rozmowę na temat wykonanych badań. Powiedziałem mu, że przecież sprawę można było omówić w zakładzie, gdzie mamy kopie dokumentów wysyłanych w teren. W odpowiedzi usłyszałem: „o tej sprawie lepiej jest rozmawiać u nas”.

No i rozmawialiśmy. Chodziło o przypadek poważnego zatrucia chemicznego, nie pamiętam dziś czym, w którym padło kilkanaście krów. Było to w okresie najlepszych lat stalinowskich, kiedy w każdej prawie sprawie strat gospodarczych spowodowanych różnymi przyczynami upatrywano wrogą robotę polityczną i prowadzono dochodzenia. Oczywiście każde zatrucie traktowano jako potencjalny sabotaż, co leżało w kompetencji służby bezpieczeństwa, której zadaniem było znaleźć winnego „wroga ludu”. W każdym takim przypadku zawsze byli winni, ale zatrucia w ogromnej większości były następstwem bałaganu panującego w gospodarstwach uspołecznionych oraz niedbalstwa

i braku dozoru ze strony osób odpowiedzialnych. W gospodarstwach społecznych zatrucia celowe zdarzały się wyjątkowo, głównie na tle osobistych porachunków tamtejszych pracowników, безпеka jednak zawsze była nastawiona na sabotaż i poszukiwała potencjalnego „wroga ludu pracującego”.

Rozmowa z ubekiem trwała przeszło 4 godziny i toczyła się wyłącznie wokół zagadnienia „kto winien”, nic go poza tym nie interesowało. Maglował mnie na różne sposoby, chcąc, bym mu tego winnego wskazał. Z ogromnym trudem udało mi się w końcu wytłumaczyć, że w przypadku zatrucia badania laboratoryjne pozwalają jedynie na wykrycie trucizny, jaka je spowodowała. Znalezienie winnego jest możliwe w oparciu o dokładną znajomość okoliczności towarzyszących zachorowaniu zwierząt i szczegółowe badania przeprowadzone na miejscu wypadku.

W pewnym momencie spytałem, gdzie jest ustęp, odpowiedział „zaprowadzę was”. Na moje podziękowanie, że jest niezwykle uprzejmy, lecz niech się nie fatyguje, gdyż chyba sam trafię do tego przybytku, jeżeli wyjaśni mi, jak tam dojść usłyszałem: „będzie lepiej, jak was sam zaprowadzę”. Odprowadził mnie z honorami, odczekał przy drzwiach, w drodze powrotnej szedł kilka kroków w tyle.

Korytarz, którym szedłem, załamywał się w kilku miejscach pod kątem prostym. Za jednym z takich załamań zobaczyłem dwóch mężczyzn. Cywil stał twarzą do ściany z rękami założonymi na karku, a stojący obok żołnierz, uzbrojony w pepeszę zobaczywszy mnie krzyknął: „stać!, co wy tutaj...”. W tej chwili nadszedł „mój ubek” i powiedział: „spokojnie, ten obywatel jest ze mną”. Przekonałem się, że istotnie miał rację mówiąc „będzie lepiej, jak was sam zaprowadzę”.

Rozmawialiśmy jeszcze chwilę, po czym (mimo moich protestów) odprowadził mnie do wyjścia, mówiąc: „lepiej będę wam towarzyszył do bramy...”. Wreszcie zrozumiałem, że w tym gmachu obcemu zawsze musi towarzyszyć miejscowy pracownik.

Rozstaliśmy się przy bramie, on pożegnał mnie zdawkowym „do widzenia”. Ja z trudem powstrzymałem się od uwagi, że nie chciałbym jeszcze raz widzieć się z nim w tym gmachu, odpowiedziałem „żegnam”.

Była godzina 14:30, z najbliższego telefonu zawiadomiłem Janowskiego, że za pół godziny będę w zakładzie. Takie oto rozmowy prowadziłem z ubowcami wielokrotnie.

Jeżeli w toku badań materiałów dostarczonych do pracowni stwierdzono obecność trucizny to w szczególności poważnych zatruciach wykonywano dalsze już ściśle ukierunkowane badania i dochodzenia na miejscu wypadku. W okresie przeszło 30 lat pracy zawodowej przeprowadziłem ponad 100 ekspertyz toksykologicznych w terenie. Wykonywałem je w obecności przedstawicieli miejscowej służby weterynaryjnej, a jako że każde zatrucie było w oczach ówczesnych władz aktem sabotażu, także organów ścigania, najczęściej pracowników Urzędu Bezpieczeństwa, rzadziej MO i prokuratury. Badania w terenie z reguły pozwalały na ustalenie źródła trucizny i okoliczności wśród jakich doszło do zatrucia, co z kolei w dużym stopniu ułatwiało organom ścigania prowadzenie dochodzenia po własnej linii.

Przedstawiciele władz obecni podczas przeprowadzania ekspertyzy pozostawiali mi pełną swobodę działania. Uzyskane w toku badań dane omawiałem z zainteresowanymi władzami po ukończeniu ekspertyzy. Po kilku dniach dostarczałem także pisemne sprawozdanie, w którym w oparciu o zebrane dane przedstawiałem rozpoznanie. Miejskowe władze nie przeszkadzały mi w wykonywanych czynnościach. Z zadowoleniem przyjmowały do wiadomości przedstawiane przeze mnie dane i wnioski.

Omawianie sprawy często kończyło się pytaniem ze strony władz: „kto winien?”.

W pewnym przypadku masowego zatrucia bydła w następstwie nieprzestrzegania porządku w magazynie paszowym, po omówieniu okoliczności, w jakich doszło do zatrucia, szef miejscowego Urzędu Bezpieczeństwa powiedział: „dziękujemy za przedstawione dane, których bez przeprowadzonych badań najprawdopodobniej sami nie zdołalibyśmy ustalić lub kosztowałoby to nas wiele pracy i wysiłku”. Zakończył z uśmiechem: „sprawa byłaby całkowicie wyjaśniona, gdyby pan jeszcze odpowiedział na pytania: kto winien i kogo należy zamknąć?”. Pytania te pozostawiłem oczywiście bez odpowiedzi.

W pewnym przypadku zatrucia świń solą kuchenną skazano chlewmistrza na kilkuletnie więzienie. Po wyroku, w rozmowie

z oficerem śledczym prowadzącym dochodzenia w tej sprawie zwróciłem uwagę, że przecież ten chlewmistrz to analfabeta, który pojęcia nie ma o hodowli, ani o tym, że sól może spowodować zatrucie. Kierownik gospodarstwa kazał mu dać świniom sól, nie mówiąc ile jej podać, a on polecenie wykonał. W odpowiedzi usłyszałem: „wyrok zawsze jest zasłużony. Jeżeli nawet facet ten w sprawie świń nie jest winien, to na pewno popełnił w swoim życiu jakiś czyn zasługujący na karę”.

Ówczesne władze niekiedy upolityczniały przypadki zatruc. W pewnym gospodarstwie PGR w pobliżu Warszawy zachorowało kilkadziesiąt krów, z których w ciągu 2 dni padło i poddano ubojowi z konieczności 25. Dwa dni przed wystąpieniem choroby delegacja Związku Radzieckiego z Chruszczowem na czele wizytowała to gospodarstwo i ofiarowała mu worek nasienia kukurydzy.

Badania chemiczne materiałów dostarczonych pracowni wrocławskiej dały wynik ujemny, o czym oddawca próbek zawiadomił telefonicznie wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa w Warszawie, prowadzący w tej sprawie dochodzenia. Szef urzędu poprosił o przyjazd i przeprowadzenie badań na miejscu. Po przyjeździe dowiedziałem się, że dostarczony do Wrocławia materiał pobrano w innym gospodarstwie, gdzie padła tylko jedna krowa i omyłkowo oznaczono jako pochodzący od zwierzęcia z gospodarstwa, w którym wystąpiło zatrucie.

W gospodarstwie wizytowanym przez Chruszczowa znalazłem około 40 krów chorych oraz narządy wewnętrzne 25 krów padłych i poddanych ubojowi z konieczności. Objawy kliniczne u chorych zwierząt i zmiany anatomopatologiczne w narządach krów padłych i poddanych ubojowi były charakterystyczne dla zatrucia arsenem. Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa wypożyczył w Instytucie Badania Leków w Warszawie szkło laboratoryjne i odczynniki niezbędne do przeprowadzenia badań chemicznych na miejscu przypadku. Badania te wykazały w treści przewodu pokarmowego krów padłych i poddanych ubojowi oraz w paszy podanej w następnym dniu po wizycie Chruszczowa obecność arsenu. Skażoną arsenem paszę przygotowano w dniu wizyty delegacji radzieckiej z kilkunastu worków mieszanki „B” i 2 worków pastewnej kredy przywiezionych z magazynu odległego o kilka kilometrów zespołu PGR.

W toku badań przeprowadzonych w zespole stwierdzono, że w centralnym magazynie paszowym, z którego wydaje się produkty do należących do niego obiektów znajdują się w workach papierowych różnego typu mieszanki paszowe, kreda, sól, a także chemiczne środki ochrony roślin, m.in. arsenian wapnia używany w tym czasie powszechnie do zwalczania stonki ziemniaczanej. Przeważono znajdujące się w magazynie worki z kredą i arsenianem wapnia i stwierdzono o dwa worki kredy więcej i dwa worki arsenianu wapnia mniej niż powinno być według księgi magazynowej. Worki z kredą i arsenianem wapnia były wprawdzie złożone oddzielnie, lecz napisy na opakowaniach były zatarte i nieczytelne. Kreda i arsenian wapnia nie różnią się wyglądem, obydwie związki są białe. Data wydania z magazynu mieszanki „B” i 2 worków kredy była zgodna z datą przygotowania z nich paszy w gospodarstwie, gdzie krowy uległy zatruciu.

Sprawa była prosta, zamiast kredy wydano omyłkowo arsenian wapnia. Mieszanka „B” z dodatkiem tego związku spowodowała masowe zatrucia krów. Zbiegiem okoliczności wizyta Chruszczowa miała miejsce dzień przed pierwszym podaniem skażonej paszy. W tej sytuacji fakt omyłkowego zanieczyszczenia paszy arsenianem wapnia, co spowodowało masowe zatrucie, władze uznały jako akt sabotażu. Cała sprawa została upolityczniona, co objawiło się w dalszym działaniu władz. Pobrano mianowicie 3 komplety próbek narządów wewnętrznych wszystkich krów padłych i poddanych ubojowi z konieczności. Jeden komplet przekazano do badań w pracowni wrocławskiej, drugi w laboratorium kryminalistyki w Warszawie, trzeci natomiast wysłano do badań w Moskwie. We wrocławskiej pracowni stwierdzono obecność arsenu we wszystkich próbkach; jakie były wyniki badań w innych laboratoriach nie wiem. Jakiś czas później dotarła do mnie prywatną drogą wiadomość, że miejscowa służba weterynaryjna referowała wyniki leczenia chorych zwierząt najwyższemu władzom państwa. Kogo uznano za „winnego” w danej sprawie i kogo „zamknięto” nie wiem.

W mej pracy zawodowej tylko raz zdarzyło się, że przedstawiciel Urzędu Bezpieczeństwa komentował moje wypowiedzi w toku przeprowadzania ekspertyzy, jeszcze przed jej ukończeniem.

Było to w przypadku, kiedy na prośbę miejscowej służby weterynaryjnej i prokuratury przeprowadzałem ekspertyzę w dużej owczarni

PGR, gdzie w ciągu trzech dni padło przeszło 150 owiec. Obecni przy tym byli dwaj lekarze weterynarii, dwaj przedstawiciele Urzędu Bezpieczeństwa i prokurator. W toku wcześniej wykonanych badań w pracowni wykluczono zatrucie chemiczne, a w treści żwacza znaleziono dużą ilość nasion gorzkiego łubinu.

Na miejscu stwierdziłem w ściółce zalegającej w owczarni dużą ilość całych ziaren łubinu. Słoma łubinowa używana na ściółkę była źle wymłócona, pozostało w niej bardzo dużo ziarna. Pierwsze zachorowania wystąpiły po trzech dniach stosowania tej słomy na ściółkę. Objawy kliniczne chorych zwierząt i zmiany anatomopatologiczne u padłych były typowe dla zatrucia łubinem.

W rozmowie z lekarzami weterynarii wspomniałem, że widzimy tutaj klasyczny obraz zatrucia łubinem. Jeden ze znajdujących się w pobliżu przedstawicieli Urzędu Bezpieczeństwa usłyszawszy to powiedział głośno: „bzdura, żaden łubin, to na pewno jest zatrucie chemiczne – sabotaż”. W sprawach toksykologicznych wielokrotnie stykałem się z pracownikami Bezpieki, nigdy jednak z czymś podobnym nie spotkałem się.

Podszedłem do prokuratora i powiedziałem, że wypowiedź ubowca dowodzi, iż wyniki badań wykonanych w pracowni i obecnie prowadzonych jego zdaniem są niewiarygodne. Jest to bardzo poważny zarzut. W tej sytuacji dalsza moja obecność i jakiegokolwiek czynności są zbyteczne i proszę o niezwłoczne odwiezienie mnie do Wrocławia. Wyszedłem z owczarni.

Zdenerwowany prokurator prosił o wybaczenie „niezręcznej” wypowiedzi ubowca i o kontynuowanie badań. Odpowiedziałem, że nie zgadzam się z określeniem „niezręczna wypowiedź”, uważam, że jest to poważny zarzut niefachowości. Licząc się jednak z prośbą prokuratora, zgodzę się na kontynuowanie badań, lecz jedynie pod warunkiem przeproszenia mnie publicznie tu i teraz, oraz wykluczenia tego pana z uczestnictwa w dalszych czynnościach i omówieniu sprawy. Prokurator porozmawiał chwilę z ubowcem, który następnie podszedł do mnie i poprosił o wybaczenie nieprzemyślanej wypowiedzi, później wyszedł z owczarni i więcej go nie widziałem.

Tak oto z grubsza wyglądały kontakty dyscypliny toksykologia weterynaryjna z ówczesnymi władzami PRL.

## Srebrna taca

Brat mojej babki ze strony ojca (Heleny) Grzegorz Jakubowicz zawsze dawał żeniącym się i wychodzącym za mąż dzieciom swojego rodzeństwa prezenty; mężczyznom srebrną tacę, dziewczętom brylantowe kolczyki. Moi rodzice weszli w posiadanie dużej tacy o ciężarze przeszło półtora kilograma w dniu 28 stycznia 1911 roku.

Od dziecka zapamiętałem, że ten cenny i rzadko używany przedmiot był przechowywany w kasie pancерnej. Uważano go za „żelazny kapitał”, który w razie jakiegoś niespodziewanego kryzysu finansowego pozwoliłby na przeżycie ciężkich chwil. W czasie obydwu wojen światowych kilkakrotnie zapobiegano ewentualnej utracie tego skarbu.

Matka opowiadała, jak czasu pierwszej wojny światowej uciekając przed drugą inwazją wojsk rosyjskich do Kut zabrała ją i pieczołowicie przechowywała. Po cofnięciu się frontu taca wróciła do kasy.

Czasu drugiej wojny światowej taca dwukrotnie opuszczała dom. Pierwszy raz w czerwcu 1940 roku, kiedy w przeddzień wkroczenia wojsk sowieckich do dobrowolnie oddanej Związкови Radzieckiemu północnej Bukowiny brat wywiózł matkę w głąb Rumunii. Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej (czerwiec 1941 roku) taca powróciła do domu w sierpniu 1941 roku, kiedy władze rumuńskie pozwoliły uciekinierom sprzed roku powrócić na odzyskane tereny. Oczywiście w dalszym ciągu przechowywano ją pieczołowicie, lecz nie w kasie, której już nie było, bowiem władze sowieckie zabrały ją do jakiegoś urzędu.

Ostatni raz wywieziono tacę wraz z innymi rzeczami w styczniu 1944 roku. W tym czasie wojska sowieckie szybko posuwały się na zachód, front zbliżał się i było pewne, że w krótkim czasie sowieci wkroczą na Bukowinę. Pod koniec marca 1944 roku wojska sowieckie weszły na Bukowinę, a 23 sierpnia 1944 roku Rumunia skapitulowała.

W jesieni 1945 roku, matka od kilkunastu miesięcy przebywała na uchodźstwie, zasób uratowanej gotówki kończył się, ja zaś po demobilizacji jeszcze nie znalazłem pracy. Nadszedł czas, kiedy trzeba było sięgnąć do chronionego dotychczas „żelaznego kapitału”. Postanowiliśmy tacę sprzedać i wtedy wybuchła bomba.

Poszedłem z tacą do znanego jubilera. Był to człowiek uczciwy, który nie żerował na uchodźcach sprzedających z konieczności uratowane przedmioty wartościowe i płacił najwyższe ceny. Taca mu się spodobała, wyraził chęć kupna, lecz zastrzegł się, że, chociaż znajduje się na niej właściwy znak próby, musi sprawdzić, czy nie jest ona tylko posrebrzona.

Przy mnie zaczął zeszkrobywać róg tacy, po chwili pod warstwą srebra ukazał się żółtawy metal, okazało się, że była ona dość grubo posrebrzona. Tak skończył się mit „skarbu” pieczołowicie chronionego przez przeszło 30 lat. Jubiler obliczył wartość srebra i tacę kupił.

Matka i znajomi znający historię tacy byli zbulwersowani, nikt jednak nie podejrzewał, że dawca prezentu świadomie ofiarował posrebrzoną tacę jako srebrną. Grzegorz Jakubowicz znany w owym czasie (początek XX wieku) jako „wuj Grzesio”, człowiek bogaty, był właścicielem kilkusethektarowego majątku ziemskiego w Walawie. Niewątpliwie kupił ją w dobrej wierze i zapłacił pełną cenę srebra. Zastanawialiśmy się, czy tace ofiarowane innym bratankom i siostrzeńcom (a było ich kilku) były takie same jak nasza.

Nic nowego pod słońcem. Oszustwa były, są i będą. Podobną historię opowiedział mi znajomy. W okresie międzywojennym kupił w Paryżu w znanej firmie jubilerskiej złotą papierošnicę dla żony. Chcąc ją sprzedać w czasie kryzysu dowiedział się, że była ona tylko grubo pozłocona.

Uwagi: Nazwisko „Jakubowicz” jest nazwiskiem panieńskim babki ze strony ojca (Heleny) i mojej matki. Rodziny obydwu kobiet nie były spokrewnione. Prócz dwóch rodów (matki i babki) znałem jeszcze trzy ormiańskie rodziny o nazwisku Jakubowicz. Źadna z tych pięciu rodzin nie była ze sobą spokrewniona.

# Trochę wspomnień o ks. Adamie Bogdanowiczu<sup>1</sup>, kanoniku gremialnym katedry ormiańskiej we Lwowie<sup>2</sup>

**ks. Włodzimierz Cieński<sup>3</sup>**

Między wojnami na terenie Lwowa doniosłą rolę odgrywały postacie wybitnych księży w życiu religijno-kulturalnym i narodowym, wiernych pięknej tradycji swych poprzedników i często wychowawców,

- 1 Adam Bogdanowicz (1898-1941) – duchowny archidiecezji lwowskiej obrządku ormiańskiego. W 1920 roku ukończył seminarium duchowne we Lwowie i studia na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie i przyjął święcenia kapłańskie. Został sekretarzem abp. Józefa Teodorowicza i dyrektorem Biblioteki Wiedzy Religijnej w Warszawie. W latach 1927-1935 był administratorem parafii ormiańskiej w Horodence, od 1933 roku kanonikiem kapituły katedralnej we Lwowie. Prowadził intensywną działalność duszpasterską i kaznodziejską, publikował m.in. w „Gregorianie”, zachęcając wiernych do częstego przyjmowania Eucharystii. W czasie okupacji sowieckiej zaangażował się w działalność Związku Walki Zbrojnej, pełniąc funkcję w Komisji Finansowej. Aresztowany w kwietniu 1940 roku przez NKWD, został zamordowany w czerwcu 1941 roku podczas masakry więźniów lwowskich „Brygidek”. W 1993 roku zrehabilitowany przez władze ukraińskie.
- 2 Maszynopis wspomnień przechowywany jest w Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej w Rzeszowie, IPN Rz 308/15.
- 3 Włodzimierz Cieński (1897-1983) – kapłan rzymskokatolickiej archidiecezji lwowskiej. Studiował filozofię i teologię we Fryburgu szwajcarskim, w 1924 roku przyjął święcenia kapłańskie. Pracował duszpastersko, m.in. w Żółkwi i w parafii św. Marii Magdaleny we Lwowie. W czasie II wojny światowej był kapelanem Związku Walki Zbrojnej, aresztowany przez NKWD i więziony m.in. na Łubiance; po zwolnieniu został duszpasterzem Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR, Armii Polskiej na Wschodzie i II Korpusu. Po wojnie pozostał na emigracji w Wielkiej Brytanii, działał w środowiskach katolickich i emigracyjnych. W 1955 roku wstąpił do zakonu trapistów w Normandii, gdzie spędził resztę życia.

których nam przekazały lata drugiej połowy XIX wieku, kształconych na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Jana Kazimierza, z obu stolic arcybiskupich związanych tradycyjną więzią wieków. Katedra ormiańska



1. Adam Bogdanowicz, 1904

i łaćwińska, a swego czasu i duchowieństwo unickie greckokatolickie pobierało swą wiedzę razem. Wielu uzupełniało swe studia i na uczelniach za granicą.

Taką też postacią niosącą Boże Dobro w specjalnym swym życiowym poświęceniu dla studiującej młodzieży uniwersyteckiej i szkół średnich między innymi był i ks. Karol Czesznak, który niepoślednią rolę odegrał wśród młodzieży uczącej się i uniwersyteckiej. Mówił o ks. Adamie Bogdanowiczu: „taki rodzi się jeden na sto lat”.

Nie mam zamiaru, gdyż nie mam danych, by pisać o postaci i działalności ks. kanonika Adama Bogdanowicza. Zwrócił się do mnie ks. Henryk Staud, mający pisać o ks. kan. Adamie Bogdanowiczu, nakłoniony przez ks. Tadeusza Fedorowicza, by się i do mnie zwrócił w tej sprawie. Odpisałem mu, ale uważając, że nie jest wskazane przekazać do kraju szczegóły odnoszące się do ks. Adama, spisuję je, jak pamiętam, i przekazuję je członkowi rodziny stale mieszkającemu w Londynie, by posłużyły do zasłużonej i należytej opinii dla tej postaci.

Głównie moje osobiste dane odnoszą się do początku drugiej wojny światowej i zaginięcia wszelkich wiadomości o ks. Adamie Bogdanowiczu w więzieniu w Kijowie. Mam nadzieję, że jasno przedstawię postawę ks. kanonika z tych czasów, by wykazać, że możliwość jakichś zarzutów w jego postępowaniu byłaby nieuzasadniona i niesłuszna.

1. Najpierw podam, jak osobiście przedstawiała się ta ruchliwa postać ks. Adama na terenie Lwowa i jego ożywiona działalność duszpasterska między wojnami. Ograniczam się do moich własnych odczuć i sformułowań.

2. Ks. Adam a początkowe wypadki drugiej wojny światowej.

3. Uwięzienie i więzienie.

Pochodził z rodziny ormiańskiej osiadłej na Podolu, należał do duchowieństwa archidiecezji ormiańskiej. Studia teologiczne ukończył, jak się zdaje, na Uniwersytecie Jana Kazimierza, mieszkając w seminarium łaćwińskim. Nie umiem podać, jakie mu powierzano placówki duszpasterskie. Wiem, że był jakiś czas proboszczem Ormian w Horodence, i potem ustalił się we Lwowie i był kapłanem Pań Sacré-Coeur we Lwowie. Stał się znanym w całej Polsce konferencjonistą i rekolekcyjonistą specjalnie dla inteligencji.

Umysł jego bardzo żywy, nie dał się zamknąć w jakichś formach tradycyjnych i podręcznikowych, ale zgłębiał i szukał prawdy w źródłach doktryny u wielkich autorów i myślicieli, monografiach podstawowych, z pobłażaniem odnosząc się do podręczników nawet modnych. Pamiętam taką z nim rozmowę na temat źródeł dla kaznodziejstwa specjalnych problemów.



2. Ks. Adam Bogdanowicz, lata 30. XX w.

W swych konferencjach stanowych mógł poruszać głębokie, zasadnicze problemy życia religijnego. W Kołomyi pewnie w latach 30. udzielał rekolekcji dla ziemian tamtejszego okręgu. Jeden z biorących udział w tych naukach wyniósł zrozumienie wielkiego zagadnienia chrześcijańskiej sprawiedliwości w płacach i zarobkach. Wywołało to cały szereg praktycznych kwestii, ale przede wszystkim wiązanie życia religijnego i pobożności z konkretnymi wymaganiami, jak szukania oparcia w Łasce sakramentów.

Publiczność słuchająca go z ambon większych kościołów nie zawsze mogła uchwycić głębię treści przedstawionej ścisłym rozumowaniem, niepopartej przykładami lub warunkami z życia. Był raczej kaznodzieją dla wybranej publiczności i tam cieszył się uznaniem. Krytyczne nastawienie pewnych grup dosięgło i do władz kościelnych. Wydaje mi się, że raczej z powodu nowości uchwycenia zagadnień i swobody w oparciu o kierunki teologiczne. Był bardzo przejęty życiem Łaski i wezwaniem Piusa X do częstej Komunii św. i pracy wewnętrznej poprzez kierownictwo duchowe konfesjonału i tak w tym czasie rozwijającej się szkoły około Vie Spirituelle dominikańskiej i takich autorytetów, jak między innymi o. Garrigou-Lagrange.

Był kapelanem i spowiednikiem Pań Sacré-Coeur we Lwowie i ich uczennic. Metody stosowane przez ks. Adama w kierownictwie wywołały zastrzeżenia nawet i władz kościelnych. Żądanie od swych kierowanych codziennej Komunii św., przekraczające normy podane w warunkach o częstej Komunii św., a spowiedzi nie jako wyjątku, a stałej metody, musiało wydawać się jakąś anomalią. Kuria obrządku łacińskiego zwracała się w tej sprawie do jego ordynariusza ks. abp. Józefa Teodorowicza, który podzielał (jak mi mówił) zastrzeżenia, ale nie uważał za konieczne jakieś radykalniejsze wystąpienie. Ks. Adam pozostał na swym stanowisku kapelana Sacré-Coeur. Nie wiem, w którym roku został kanonikiem gremialnym kapituły ormiańskiej we Lwowie.

Ciekawe byłoby ustalenie jego stosunku do tej wielkiej postaci, jakim był jego arcybiskup. Na pogrzebie ks. abp. Teodorowicza 9 grudnia 1938 roku ks. Adam Bogdanowicz na cmentarzu w Łyczakowie odczytał swego układu rodzaj panegiryku wierszem. Przez jednych bardzo chwalony, a inni mieli zastrzeżenia czy do formy, czy do ujęcia.

Teraz przejdę już do wybuchu drugiej wojny światowej i tych szczegółów mnie znanych z postawy ks. Adama i Jego udziału w organizacji obronnej z powodu inwazji bolszewickiej wschodnich prowincji polskich.

Muszę tu zaznaczyć, z jakiego tytułu jest mi znany udział ks. Adama w tajnej organizacji wojskowej. Ks. abp. Twardowski polecił mi wejście, jako kapelana, do głównej komendy zorganizowanej



3. Ks. Adam Bogdanowicz podczas rekolekcji z młodzieżą żeńską, lata 30. XX w.

na podstawie zlecenia gen. Sosnkowskiego przysyłanego z Rumunii pod nazwą Związek Walki Zbrojnej ze słowami „Tam gdzie jest dobra sprawa Ojczyzny, tam też jest i Kościół” i zastrzegł, że nikomu innemu z księży nie daje zezwolenia wstępowania w tę organizację. Jeszcze paroma zdaniem przekazał mi swe zlecenia, które tu są nieaktualne.

Ks. Adam nie był podporządkowany ks. abp. łacińskiemu, miał swego ordynariusza. W tym czasie mnie odwiedził i zaznaczył, że należy do ZWZ. Tu mi powiedział: „ludzie tak cierpią na skutek wojny, a ja jestem zupełnie poza cierpieniem” – tak niedługo cierpienie wciągnęło go w swoją orbitę.

Nie miałem z nim bliższego kontaktu w tym zakresie. W ogóle z nim się nie spotykałem, jak tylko raz przed jego aresztowaniem. Trzeba tu jednak wyjaśnić ważną sprawę, która wiązała się z jego osobą wciągniętą w tę organizację tajną.

W chwili wybuchu wojny we wrześniu 1939 roku i inwazji niemieckiej na Polskę wiceprezes czy prezes Najwyższego Sądu w Poznaniu z całym depozytem tegoż sądu zjechał do Lwowa, umieścił depozyt u oo. dominikanów i oddał do dyspozycji tajnej organizacji

wojskowej, prawdopodobnie ZWZ. Zaczęła pogłoska krążyć w pewnych kołach o tym depozycie i jego użytku. Dla przestrogi udałem się do przeora oo. dominikanów o. Czesława Kani i u niego zastałem odpowiedzialnego za ten depozyt ojca. Przeor przeraził się, że tajemnica jest złamana. W klasztorze wiedział tylko przeor i furcian o całej sprawie i miejscu przechowywania i on jeden upoważnionemu dostarczał materiału do zbycia. W pewnym czasie tę odpowiedzialną rolę powierzono ks. Adamowi. Z czyjego ramienia miał tę funkcję, to dowiedziałem się później.

Z ks. Adamem raz tylko się spotkałem. Był u mnie i powiedział mi o swej funkcji. Mówiąc o tych cierpieniach związanych z wypadkami wojennymi, powiedział mi: „o ja całkiem nie odczuwam skutków wojennych, wcale nie cierpię”. Było to bardzo niedługo przed jego aresztowaniem, które miało miejsce z końcem marca lub na samym początku roku 1940. Potem nacierpiał się. Spotkałem się z nim w „doprosie” (przesłuchaniu więziennym), ostatni raz go tam widziałem.

Po aresztowaniu ks. Adama zgłosił się do mnie młody człowiek – podał nazwisko „Żmija”, prawdopodobnie pseudonim – że go wyznaczono zastąpić w roli „skarbnika” aresztowanego. Był członkiem stronnictwa ludowego (PSL) i polecono mu do mnie się zgłosić w określonym celu. Nigdy więcej go nie widziałem i nic nie wiem, co się z nim stało. Zostałem aresztowany 17 kwietnia w roku 1940 o godz. 3.00 po południu na plebanii św. Marii Magdaleny.

W ciągu śledztwa w więzieniu na Zamarstynowie raz jeden zetknęto mnie z ks. Adamem. Tymi słowami zwrócił się do mnie: „ks. Proboszczu, ja biorę na siebie całą odpowiedzialność, proszę mówić całą prawdę, gdyż oni mają tu takie sposoby, że oprzeć się nie można”. Moja odpowiedź brzmiała: „z nikim odpowiedzialnością się nie dzielę i w pełni odpowiadam sam za siebie”. Ostatni raz w życiu go widziałem. Zupełnie mnie nie zdziwiły ani nie poruszyły jego słowa. Mnie też z innymi kontaktowano, by namawiać do mówienia „prawdy”. To zwykła ich forma NKWD.

Po wyjściu z więzienia sowieckiego poszukiwałem ks. Adama i dopytywałem się o niego. Pierwszy podał mi o nim wiadomość p. mecenas Maciejko, który z nim razem siedział w jednej celi na

Zamarstynowie. O spotkaniu ze mną mu mówił. Uważał, że „kłamać nie można, choćby się miało zbawić cały świat” – taka była formuła pewnych opinii teologicznych, ale na głębszych podstawach opierała się inna opinia teologiczna. Nawet św. Alfons Liguori przewidywał pewne okoliczności, które uprawniają, nawet wymagają nieujawnienia prawdy. Nie wszystka władza ma prawo domagania się prawdy, bo są i uzurpatorzy władzy.

Drugą osobą, która mi podała wiadomości o ks. Adamie z więzienia w Kijowie, był mi znany z doli więziennej Zamarstynowa p. Jastrząb (myślę, że to nazwisko, a nie pseudonim). Spotkałem go, zdaje mi się, w Palestynie już po wojnie, gdy wybierał się do kraju. Bardzo był nastawiony niechętnie do ks. Adama. Uważał go za załamane go, jednak to, co mówił, zupełnie mnie nie przekonywało o jakiejś winie ks. Adama i widać było, że jest „nastawiony”.

Zupełnie mnie nie przekonał o obiektywności swych sądów. Odgrażał się, że w Polsce odpowiednio przedstawi osobę ks. Adama. Był urażony, że w naszych formacjach wojskowych od Rosji nie otrzymał stanowiska oficerskiego, mimo że był członkiem ZWS, mającym pewne stanowisko na Persenkówce, skąd pochodził. Był podoficerem rezerwy (jeśli dobrze pamiętam) i z zawodu mechanikiem.

Już we Włoszech zgłosiło się do mnie dwóch towarzyszy ks. Adama Bogdanowicza z więzienia w Kijowie. Nie mieli wyrazów dla jego postawy kapłańskiej i narodowej godności. Wziąłem ich zeznania protokółarnie i trzymałem się zwykle przyjętej formy zeznań pod przysięgą, ale tego szczegółu już nie pamiętam. Ten protokół może być w archiwach duszpasterstwa Drugiego Korpusu. Może być, że te zeznania dwóch towarzyszy ks. Adama z Kijowa były poprzednio mi złożone, jak moje spotkanie z końcem wojny z Jastrzębiem. Tak mi się zdaje. Obaj towarzysze ks. Adama, o których mówię, byli przeświadczeni, że jak go wyprowadzono z celi, to na śmierć. Jak odszedł z celi, nie miał wyroku śmierci, tak mi się zdaje. Był bardzo wyczerpany i słabych sił.

Pogłoska, jakoby po wojnie znalazł się w Rzymie, zupełnie jest pozbawiona wszelkich danych. Ostatnia o nim wiadomość to tych dwóch więźniów, którzy z nim byli w Kijowie.

To wszystko, co mogę powiedzieć o ks. Adamie Bogdanowiczu z czasów wojny i dodam, że zachowałem o nim przeświadczenie jako o wielkiego umysłu kapłanie i bardzo gorącym patriocie.

ks. Włodzimierz Cieński OCSO

Opactwo: Notre Dame de Grâce  
Bricquebec-Manche  
France, luty 2 1973 rok.

Fotografie pochodzą ze zbiorów Fundacji Kultury i Dziedzictwa Ormian Polskich w Warszawie.

## Dzieje rodu Augustynowiczów ze Lwowa (część 1)

**Andrzej A. Zięba**

📧 <https://orcid.org/0000-0003-4922-6249>

Rodzin pochodzenia ormiańskiego posługujących się nazwiskiem Augustynowicz było kilka w różnych miastach dawnej Polski: we Lwowie, Brzeżanach, Kamieńcu Podolskim, Łucku, Kutach, Zamościu. Ponadto takie samo miano nosiły też rodziny polskie, zamieszkujące regiony, w których Ormianie pojawiali się z rzadka. Ci rozmaici Augustynowiczowie – ormiańscy i polscy, na Podolu, Litwie, Mazowszu, w Małopolsce czy Wielkopolsce – nie byli ze sobą spokrewnieni, a ich identyczność nazwiskowa brała się z przyczyny powszechnie znanej, a mianowicie patronimicznej formy nazwiska; wywodzili się od różnych przodków, którzy nosili to samo imię – Augustyn.

Chcę tu naszkicować losy jednej tylko rodziny Augustynowiczów. Tych mianowicie, którzy pochodzili ze Lwowa, a mówiąc precyzyjnie, z jurydyki Świętojańskiej na przedmieściu Krakowskim, z czasem dostąpili nobilitacji, przyjęli herb Odrowąż, i żyli w przekonaniu, że są potomkami królewskiego rodu ormiańskiego – Atabeków. Przekonaniu z gruntu mylnym.

### Protoplasta

Przodek lwowskich Augustynowiczów nosił imię Aksent (Aksant), często spotykane w imiennictwie Ormian polskich i mołdawskich. W dokumentach łacińskojęzycznych, a takich nie sposób było uniknąć w Królestwie Polskim, w którym łacina przez kilka wieków stanowiła język urzędowy, imię to zapisywano tylko czasem w formie oryginalnej lub zbliżonej do niej, a najczęściej jako „Augustinus”. Ów praprzodek Augustynowiczów zwany był Owakowiczem (Owakowiczem, Awakowiczem, Awakowiczem) – od imienia dziada Owaka, lub Jurkowiczem (Jurkowiczem) – od imienia ojca Jurka, drobnego kupca

ormiańskiego, żonatego z Maruszą, tragicznie zmarłego w 1538 roku w bójce o dług (50 florenów) z niejakim Mikołajem Pierzchałą, mieszczaninem polskim z Wiślicy<sup>1</sup>.

Aksent Jurkowicz Owakowicz po ojcu odziedziczył zawód kupiecki i dom położony pomiędzy domami pewnego Jorka i cieśli Prokopa w jurydyce Świętojańskiej. Jurydyka ta należała niegdyś do ormiańskokatolickiego klasztoru św. Jana, z czasem przeszła na uposażenie dziekana rzymskokatolickiej kapituły katedralnej. Obowiązywało w niej prawo ormiańskie, gdyż Ormianie przeważali początkowo wśród jej mieszkańców. W swej lokalnej społeczności Aksent Jurkowicz Owakowicz znaczył wiele, bowiem był w latach 1538-1541 starszym (seniorem), potem wicewójtem i wreszcie wójtem (1541/1542) jurydyki. Jednak jego ambicje sięgały Lwowa. Uzyskanie statusu obywatela miasta królewskiego było pierwszym krokiem na drodze do awansu rodziny w hierarchii społecznej.

Stało się to 16 września 1542 roku. Pod tą datą w aktach miasta Lwowa czytamy, że „Augustinus, Armenus, filius Georgii Owak Armeni, de sub sancto Joanne” przyjął prawo miejskie<sup>2</sup>. Poręczyli za niego przed władzami miasta: Hieronim Zapała, polski adwokat występujący często w sądzie ormiańskim, oraz Toros Iwanisowicz, kupiec, protoplasta zamożnego rodu, z którego będzie pochodził Mikołaj Torosowicz, arcybiskup ormiański, twórca unii kościelnej polskich Ormian ze Stolicą Apostolską.

Otrzymanie obywatelstwa miejskiego Aksent Jurkowicz Owakowicz zawdzięczał zapewne małżeństwu z Szuszan (Zuzanną) Wasylówną, pochodzącą z zamożnej rodziny lwowskich Ormian, od trzech

- 
- 1 Centralne Państwowe Archiwum Historyczne Ukrainy we Lwowie (dalej: CPAHUL): f. 52, op. 2, spr. 223, Księga ławnicza Lwowa, s. 22, „Jurko Awakow Armenus” wzmiankowany w 1515 roku w zeznaniu sądowym na temat poręczycielstwa; CPAHUL: f. 52, op. 2, spr. 10, Akta radzieckie lwowskie, 1538, s. 845, nr 1207, „Jurek Awakowicz Armenus de sub Sancto Joanne” wzmiankowany w sprawie z Mikołajem Pierzchałą.
  - 2 *Album civium Leopoliensium. Rejestry przyjęć do prawa miejskiego we Lwowie 1388-1783* (dalej: *Album*), t. 1, wyd. A. Janeczek, Poznań-Warszawa 2005, s. 101, nr 2068.

pokoleń służącej polskim władcom w charakterze tłumaczy języków tatarskiego i tureckiego, wywodzącej się od lwaszka Kiczki (zm. 1505) i jego syna Wasyla Kiczycza (zm. 1533), łóżnego króla Zygmunta I. Rodzina ta za usługi dla dworu polskiego dostąpiła uszlachcenia i otrzymała nadania ziemskie, a jednocześnie parała się handlem orientalnym i posiadała kilka domów we Lwowie. Z braci Szuszan Filip (Filipos) Wasylowicz był starszym gminy ormiańskiej, Szymon (der Simon) – księdzem przy katedrze, który towarzyszył katolikosowi eczmiaędzyńskiemu Stefanowi V Salmastecemu w pielgrzymce do Rzymu (1548-1550), Krzysztof (Chaczko) odziedziczył po przodkach funkcję królewskiego tłumacza, a siostra Elżbieta (Achsapet) pełniła funkcję majrabydy, czyli przełożonej mniszek ormiańskich we Lwowie i odbyła pielgrzymkę do Jerozolimy (1573). Zyskał zatem przybysz z przedmieść lwowskich poprzez swój mariaż ustosunkowanych i znanych w mieście krewnych<sup>3</sup>.

W 1551 roku Aksent Jurkowicz Owakowicz nabył dom w obrębie Lwowa. Znalazł go w okolicy niezbyt prestiżowej, bo na obrzeżu, za cmentarzem ormiańskim, od strony murów miejskich, pomiędzy domami tkacza Jakuba i księdza Iwanisa. Za drewniane domostwo zapłacił jego poprzednim właścicielom – Torosowi Bernatowiczowi i Iwanisowi Sahagiewiczowi – 60 florenów, a na dodatek przekazał im swą dawną posiadłość w jurydyce Świętojańskiej<sup>4</sup>. Handlował zapewne towarami przywożonymi z Turcji, bo brał kredyty i uzyskiwał poręczenia jak wszyscy kupcy ormiańscy zajmujący się tym wymagającym dużych nakładów pieniężnych procederem. Z tego powodu jego imię pojawiało

---

3 O niej i jej pielgrzymce do Jerozolimy zob.: A. A. Zięba, *Mniszki świętej Rypsimy i benedyktynki ormiańskie – fenomen pobożności etnicznej*, w: *Niewiasty z pastorałami. Portrety księń klasztoru benedyktynek ormiańskich we Lwowie: historia, konteksty, konserwacja*, red. A. A. Zięba, Warszawa–Kraków 2021, s. 118-119. Szerzej o Kiczkach, Wasylowiczach i Filipowiczach (dzieciach Filipa Wasylowicza) zob.: K. Stopka, *Milites et nobiles: Ormianie a stan szlachecki Królestwa Polskiego i Wielkiego Księstwa Litewskiego od XIV do XVI wieku*, „Lehahayer” 2018, nr 5, s. 51-67, 82-84.

4 Zapis w Księdze ławniczej Lwowa pod rokiem 1551 (CPAHUL: f. 52, op. 2, spr. 224, s. 1135).

się na kartach akt sądowych i notarialnych gminy ormiańskiej oraz magistratu Lwowa. Między innymi w 1553 roku zabezpieczył na nowym domu 100 złotych pożyczonych od szwagra, Filipa Wasylowicza. Byli ściśle powiązani interesami. W następnym roku Wasylowicz uczynił go swym plenipotentem, a w 1570 poręczył za wszystkie jego długi, otrzymując zapewnienie, że Aksent nie zastawi i nie sprzeda swego domu i innych dóbr bez zgody poręczyciela. Po roku 1573 te wzmianki w aktach lwowskich kończą się, więc zapewne protoplasta rodu Augustynowiczów już wtedy nie żył.

Pozostał po nim psalterz, skopiowany na jego zamówienie w 1567 roku dla katedry ormiańskiej we Lwowie, zgodnie z normą epoki spisany w języku kipczackim, dla pamięci ojca i matki, czyli Aksenta i Szuszan<sup>5</sup>.

Wdowa wraz z dziećmi, jeszcze małoletnimi, przeszła pod opiekę swych braci: Filipa i Szymona Wasylowiczów. To oni zdecydowali o oddaniu siostrzeńców na praktykę handlową do rodziny ormiańskiej najmożniejszej w tym czasie w Polsce – Zachariasza i Mikołaja Bernatowiczów. Siostrzenicom zaś („szwagra dziewczkom”) Filip Wasylowicz, sporządzając w 1589 roku swój testament, zapisał po 150 złotych, których zresztą jego syn, Wasko Filipowicz, wypłacić nie chciał<sup>6</sup>.

Potomstwo Aksenta Jurkowicza Owakowicza było wcale liczne: Owak (alias Awak), który imię dostał po pradziadku ojczystym, Howannes (Iwaszko, Jan), Anna (Hanuchna), Katarzyna (Kasko), Elżbieta (Haldzuchna), Urszula (Orszula), Anastazja (Nasduchna), Jerzy (Jurko), imiennik dziada ojczystego, i wreszcie Tobiasz, czyli po ormiańsku: Atabej, który imię dostał po jednym z wujów macierzystych, Atabeju Wasylowiczu.

Wszyscy oni (a potem ich potomkowie) używali patronimiku Aksentowicz (Aksantowicz), co w etnolekcie kipczacko-ormiańskim

---

5 *Zapisy sądu duchownego Ormian Lwowa za lata 1451-1564*, wyd. E. Tryjarski (w druku).

6 W 1599 roku Daniel Szimkowic, mąż jednej z obdarowanych, w imieniu żony i jej siostr, pozwał Waska Filipowicza do sądu ormiańskiego we Lwowie o te niewypłacone legaty (CPAHUL: f. 52, op. 2, spr. 516, Acta iudicii civilis Armenorum, dalej: AICA, s. 723-724).

brzmiało: Aksent-ohlu, gdy chodziło o syna, lub Aksent-chzy, w wypadku córek. Na polski tłumaczono to nazwisko jako Augustynowicz i z czasem ta druga forma wyparła całkowicie pierwszą. Niekiedy członkowie różnych linii rodu nazywani byli dodatkowo własnymi patronimikami. A więc: Iwaszkowiczami (Iwaszko-ohlu), Jurkowiczami (Jurko-ohlu), Atabejowiczami (Atabej-ohlu), Lazarowiczami (Lazar-ohlu), Dertorosowiczami (der Toros-ohlu). Ale także: Oczkowskimi, Sabatami, Konikami i Jezuitami, przy czym geneza tych innych form nazewniczych nie zawsze jest jasna. Zapewne potrzebowano ich dla odróżnienia kuzynów noszących te same imiona, żyjących w tym samym czasie i zamieszkałych w tym samym miejscu, to jest we Lwowie.

Różnie potoczyły się losy tego pierwszego pokolenia Augustynowiczów. Handel orientalny, choć nie był zajęciem bezpiecznym, przynosił im dochody i umożliwiał usamodzielnienie się od pracodawców, czyli Bernatowiczów. A handlowali synowie i zięciowie Aksenta Jurkowicza Owakowicza w Stambule, Ankarze, Lwowie, Lublinie, a nawet w Moskwie. Małżeństwa zawierali w obrębie nacji ormiańskiej, głównie we Lwowie, gdzie też lokowali dochody w kolejne nieruchomości, stając się z czasem jedną z zamożniejszych rodzin, choć nienależących jeszcze do establishmentu gminy, bo niesprawujących funkcji jej starszych (seniorów).

## Iwaszko Jezuita

Iwaszko Aksent-oghlu był, jak się wydaje, przewidziany do stanu duchownego, bo zapewniono mu możliwość kształcenia się w Uniwersytecie Krakowskim. To pierwszy znany nam student pochodzenia ormiańskiego w tej uczelni. Wpisał się do jej metryki jako „Joannes Augustini, Armenus Leopoliensis” w roku 1582, ponosząc opłatę w wysokości 2 groszy<sup>7</sup>. Miał też chyba jakieś związki z jezuitami, którzy niedługo potem pojawili się w Krakowie (1583) i Lwowie (1584), gdyż zyskał w gminie ormiańskiej przydomek Jezuita. Nie był to raczej skutek

---

<sup>7</sup> *Album studiosorum Universitatis Cracoviensis*, t. 3, fasc. 1, (ab anno 1551 ad annum 1589), red. A. Chmiel, Kraków 1896, s. 128.

edukacji w szkole zakonnej, bo jezuita jeszcze jej nie prowadził ani w jednym, ani w drugim mieście. Czyżby więc wstąpił na jakiś czas do ich nowicjatu? – nie wiemy. Tak czy inaczej, przed 1601 rokiem<sup>8</sup> Iwaszko Aksent-ohlu Jezuita osiadł we Lwowie i zajął się handlem. Dobrał się kamienicy zwanej Szoltyszowską, przez co zyskała ona miano Jezuickiej. Żenił się dwukrotnie: w 1601 roku z Hanuchną, córką Gresa Zachno-oghlu Głuszkowicza (Hłuszkowicza), zwanego Dżindżik, i w 1614 roku z Oluszką (Orszulą), córką księdza Krikora (Grzegorza, Grigora)<sup>9</sup>. Testament spisał 10 marca 1624 roku<sup>10</sup>. Już we wrześniu tegoż roku kolejny jasach (podatek gminny), uchwalony wtedy przez radę starszych w czterokrotnym wymiarze, zapłaciła z kamienicy Jezuickiej „pana Iwaszka Jezuita małżonka”, a zatem on już zapewne nie żył. Podobnie zachowała się w latach 1625-1626.

Od 1628 roku jasach płacił już syn Iwaszka Aksentowicza z pierwszego małżeństwa, Grzegorz (Gresko), zwany po ojcu – a jakże – Jezuitą<sup>11</sup>. On też był kupcem. W 1628 roku ożenił się z Kasko (Katarzyną), córką zmarłego już księdza ormiańskiego Nigola (Mikołaja) Hankiewiczza, rodem z Suczawy, osiadł we Lwowie<sup>12</sup>. W 1637 roku jako płatniczka jasachu znów pojawiła się w aktach gminy „pani Jezuita”<sup>13</sup>. Może był to skutek procesu sądowego, toczzonego w sądzie zadwornym, apelacyjnym względem sądów miejskich. W jego wyniku w 1637 roku Orszula, wdowa Iwaszkowa, uzyskała zapis swego wiana

---

8 Od tego roku jest wykazywany w spisach podatków gminy ormiańskiej we Lwowie (jasachów), zob.: *Jasachy gminy Ormian lwowskich za lata 1598-1638 w języku ormiańsko-kipczackim* (dalej: *Jasachy*), oprac. K. Stopka, seria: *Pomniki Dziejowe Ormian Polskich*, 2, Kraków 2020, s. 334, 337, 349, 343, 347, 350, 354, 357, 361, 368, 372, 375 (jako Iwaszko Aksentowicz), 381, 384, 388, 392, 396, 400, 403, 407, 410, 414, 418, 425, 428, 431, 434, 438, 441 (jako Iwaszko Jezuita).

9 Mechitaristenbibliothek w Wiedniu (dalej: MBW): sygn. 441, k. 90v-91v i 130v, krorąki z 25 stycznia 1601 i 15 lutego 1614.

10 MBW: sygn. 441, k. 167-167v.

11 *Jasachy*, s. 480, 486, 491, 497, 502, 507.

12 MBW: sygn. 441, s. 196v-197v, dokument z 27 lutego 1630, kwitacja posagu z 10 stycznia 1628 roku.

13 *Jasachy*, s. 447, 450, 470, 548.

i przywianku na kamienicy Jezuickiej. Aby wyrok królewski wyegzekwować, musiała się już w następnym roku znów procesować, tym razem przed sądem ormiańskim we Lwowie, ze współwłaścicielem, Szymonem (Szimkiem) Derzachariaszewiczem<sup>14</sup>, jak się wydaje swym zięciem, co ciekawe, też nazywanym Jezuitą od owej kamienicy. Pomagał jej w tym procesie pasierb Grzegorz.

O dalszych losach tej linii rodu nic bliżej nie udało się ustalić. W źródłach pojawia się dwukrotnie tylko córka Grzegorza, w latach 1640 i 1644, jeszcze jako panna, w testamentach sióstr jego matki, Hłuszkowiczównien – Róży Gabrielowej Bartoszewiczowej i Elżbiety Szymonowej Boguszowiczowej<sup>15</sup>.

## Owak

Owak (Awak) Aksent-oghlu był najmłodszym z braci, sądcą z daty osiągnięcia samodzielności rodzinno-mieszkaniowej we Lwowie, co w gminie ormiańskiej skutkowało poborem jasachu. Po raz pierwszy obciążono nim jego dom w 1604 roku. Ale już wcześniej wiódł burzliwy żywot kupiecki, niezaskakujący w przypadku handlu międzykontynentalnego. W 1590 roku w Stambule wdał się w spór z pewnym Żydem, z czego wynikł proces sądowy, toczony już we Lwowie, z kupcem Tolczejem Kafenczaninem. W 1602 roku w Ankarze (wówczas zwanej Angorą) został przebity nożem przez tureckiego janczara. Jak choćby z tych dwóch przypadków wynika, wyjeżdżał na trudne szlaki handlowe i chyba na dłużej. Pewnie dlatego jasachy opłacała w 1604 i 1606 roku za niego żona, Anna (Hanuchna), córka Andrija Iliasz-oghlu (Iliaszowicza)<sup>16</sup>. On sam płacił od marca 1608 do marca 1611 roku<sup>17</sup>. Potem, od

---

14 CPAHUL: f. 52, op. 2, spr. 524, AICA, 1636, s. 833.

15 K. Stopka, *Języki osławiane pismem. Alografia kipczacko-ormiańska i polsko-ormiańska w kulturze dawnej Polski*, Kraków 2013, s. 225-231 (testament Bartoszewiczowej); MBW: sygn. 447, k. 43-46 (testament Elżbiety Boguszowiczowej).

16 MBW: sygn. 441, k. 121v-122, kwitacja krorąku z 22 sierpnia 1611 roku; krorąk w 1602 roku z przyszłym teściem podpisali bracia Owaka; żona wniosła w wianie sumę 800 złotych.

17 *Jasachy*, s. 358, 362, 365, 369, 373, 376, 380, 384, 388, 392.

1612 do 1615 roku, znów w spisach jasachowych figuruje żona, ale już jako wdowa, gdyż w 1611 roku Owak zginął w Moskwie, dokąd zawiózł towary z Turcji, w trakcie walk o polską dominację nad Rosją.

Był to tragiczny epilog życia rzutkiego bez wątpienia kupca. Jego brat, Iwaszko, dokonał rozliczenia finansowego z bratową na podstawie krorąku przedślubnego (22 sierpnia 1611). Potem jeszcze raz pojawia się ona w aktach sądowych, gdyż szwagier, Murad Usłujowicz, pozwał ją o niespłacony dług Owaka. O potomstwie Owaka brak jest danych.

## Aksent-chzlar

Po kipczacku córki Aksenta to Aksent-chzlar (liczba mnoga od Aksent-chzy). Było ich w domu Aksenta Jurkowicza Owakowicza co najmniej pięć. Z nich najlepiej wydała się Haldzuchna (Elżbieta), bo za malarza Pawła Bogusza (Bohosa Donuszowicza), artystę cenionego we Lwowie, autora m.in. malowideł w katedrze ormiańskiej, wykonanych na zlecenie bogatej Ormianki, wdowy Bernatowiczowej (ich fragmenty zachowały się do dziś). Była jego drugą małżonką (1582)<sup>18</sup>, macochą bardziej od ojca znanego Szymona Boguszowicza, związanego z dworami polskich magnatów kresowych (Mniszchów, Żółkiewskich, Wiśniowieckich), który kilka lat spędził w Moskwie (1604-1611), gdzie był prawdopodobnie portrecistą carycy Maryny Mniszchówny i jej męża, Dymitra. Własny syn Haldzuchny, urodzony w 1593 roku, wbrew oporowi rodziny wstąpił około 1613 roku do zakonu karmelitów bosych, przybrawszy imię brata Antoniego. I on parał się malarstwem, przyuczony w młodości przez ojca do tego kunsztu. Tworzył obrazy religijne. Zmarł w Krakowie w opinii świętości<sup>19</sup>.

Druga Aksent-chzy, Hanuchna (Anna), wychodziła za mąż dwukrotnie. Najpierw za Jakuba Stefanowicza (1592)<sup>20</sup>, po jego śmierci za Wartika (Bartłomieja), syna Zadika (Zachariaszowicza) Werejki

---

18 MBW: sygn. 441, k. 34, krorąk z 19 lutego 1582 roku.

19 S. Barącz, *Żywoty sławnych Ormian w Polsce*, Lwów 1856, s. 181-188.

20 MBW: sygn. 441, k. 59v-60, krorąk z 9 lutego 1592 roku.

(1601)<sup>21</sup>. Gdy owdowiała po drugim mężu i straciła wzrok, znalazła przytułek w domu siostry Boguszonej, a brat Iwaszko stał się jej prawnym opiekunem (1610-1611).

Dla Nastuchny (Anastazji) bracia znaleźli męża aż w Stambule – Murada Usłujowicza (1608)<sup>22</sup>, syna tamtejszego Ormianina, Usłu (Musula). Zamieszkali we Lwowie, gdzie Murad był znany jako „zięć Aksenta Owakowicza” („Murad Aksent-oghlu kijowu”) i w latach 1608-1621 płacił jasach z tytułu posiadania własnego domu przy cmentarzu ormiańskim, tuż przy domu Aksentowiczów<sup>23</sup>. Zachorował w 1615 roku, dzieci się nie doczekali. Gdy Nastuchna zmarła (około 1636 roku), trzech jej bratanków po braciach Iwaszku, Jurku i Atabeju – Grzegorz, Krzysztof i Lazar – wystąpiło do sądu ormiańskiego o spadek, zwalczając skutecznie pretensje męża jej siostry, Bartłomiejowej Werekowej<sup>24</sup>.

O pozostałych córkach Aksenta Jurkowicza Owakowicza mniej wiadomo. Urszula do 1598 roku pozostawała niezamężna. Kasko związała się z mieszkańcem przedmieścia w jurydyce Świętojańskiej, Danielem Szymko-oghlu (Szymkowiczem)<sup>25</sup>. W 1599 roku procesował się on w imieniu żony i jej sióstr, „córek nieboszczyka Aksantego”, z Waskiem Filipowiczem o wypłatę legatu testamentowego, który im zapisał Filip Wasylowicz.

## Jurko i Atabej

Jurko i Atabej, najstarsi z synów Aksenta Jurkowicza Owakowicza, oddani przez wujów na służbę (czyli praktykę kupiecką) do Bernatowiczów, aby się usamodzielnili zawodowo, musieli się formalnie

---

21 MBW: sygn. 441, k. 94v, krorąk z 4 lipca 1601 roku.

22 MBW: sygn. 441, k. 10v-111v, krorąk z 11 lipca 1608 roku.

23 *Jasachy*, s. 369, 273, 377, 379, 380, 384, 388, 392-395, 399, 403, 496, 410, 414, 417, 421, 425, 428, 430, 434, 437, 440, 446, 450, 456, 460, 464, 469, 474, 479, 484, 490, 495, 500, 505.

24 CPAHUL: f. 52, op. 2, spr. 524, AICA, 1636, s. 538, 548, 552.

25 MBW: sygn. 441, k. 60-60v, krorąk z 9 lutego 1592 roku.

uwolnić. Jurko zrobił to w 1594 roku, tuż po jarmarku lubelskim<sup>26</sup>. Był już wtedy ojcem rodziny, gdyż w 1589 roku ożenił się z Hoską (Zofią), córką zmarłego Greska Lazar-oghlu (Lazarowicza)<sup>27</sup>. Natomiast Atabej, zwany z polską Tobiaszem, zawarł krorąg przedślubny jeszcze wcześniej, 9 lutego 1579 roku, czyli był najstarszym spośród braci. Jego wybranką była Manuszaga Lazarowicówna, w której imieniu krorąg podpisali jej bracia: Miklasz i Zadik. Atabej postarał się też o prawo miejskie Lwowa w 1595 roku<sup>28</sup>, jako jedyny z braci.

Działali w handlu razem, a już samodzielnie względem Bernatowiczów, co najmniej od 1598 roku, gdyż od tego roku płacili za siebie jasachy w gminie lwowskiej. Operowali na rynku stambulskim. Razem też występowali w sądach w różnych sprawach rodzinnych, jak na przykład w 1604 roku przy kwitacji z wujem, księdzem Szymonem Wasylowiczem, i w 1605 roku z pretensjami do dóbr po zmarłym szwagrze, malarzu Boguszu Donowakowiczu. Jak się wydaje, obaj byli też współwłaścicielami domu ojcowskiego.

## Potomkowie Jurka

Jurko zmarł około 1609 roku. Wdowa po nim zastępuje na osobną wzmiankę. Hoska Aksentowiczowa po swej matce Emerencji, secundo voto Iwaszkowiczowej, była przyrodną siostrą trzech wpływowych nie tylko we Lwowie Iwaszkowiczów – Jana, prawnika i domownika magnackiego rodu Zamoyskich, Grzegorza, kupca, i Jakuba, też kupca, a ponadto starszego gminy ormiańskiej. Po śmierci męża, pozostając początkowo pod opieką szwagra Atabeja, sama zarządzała interesami rodzinnymi, płacąc corocznie podatki na rzecz gminy<sup>29</sup>, aż

---

26 CPAHUL: f. 52, op. 2, spr. 516, AICA, 1600, s. 1030. Jeszcze w 1600 roku Jurko dochodził się w sądzie ormiańskim we Lwowie z wujami (Wasylem Filipowiczem, Iwaszkiem Domażyńskim, Torosem Bernatowiczem i Andrzejem Mikołajewiczem) w sprawie swojej służby.

27 MBW: sygn. 441, k. 49v-50, krorąg z 19 lutego 1589 roku.

28 *Album*, t. 1, s. 228.

29 W spisach krorągów figuruje jako podatniczka w 1607 roku („pana Jurka, syna Ank[senta] żona, floren 1 dała” (*Jasachy*, s. 364), podobnie w latach

do 1628 roku, gdy ten obowiązek przejął jedyny syn Chaczko, czyli Krzysztof<sup>30</sup>. Mimo umowy o wypłacaniu jej przez tegoż syna jednego florena corocznie jako zaopatrzenia wdowiego, została źle potraktowana, a nawet przez synową odpędzona od rodzinnego stołu. Musiała zatem poradzić sobie sama. Została kramarką i z tego utrzymywała siebie oraz najmłodszą córkę, jeszcze niezamężną, a też niemile widzianą w domu brata. Opowiada o tym w testamencie, spisany 27 maja 1628 roku, w obliczu ciężkiej choroby:

Wszystko, cokolwiek znajduje się w kramie, stanowi rezultat mojego własnego zbierania, tego, czego się dorobiłam już po zapisie [to jest testamencie męża] współ z moją córką, panną Zofią, i nie ma tam nic z pieniędzy mego syna, pana Krzysztofa, ale ponieważ źle mi się wiodło, gdy byłam na jego wikcie, to – doznawszy pomocy od cnotliwych ludzi, którzy kochali mojego zmarłego małżonka, i litując się nad moim upadkiem, poratowali mnie pewną sumą pieniędzy, jak przede wszystkim Jego Mość obecny ksiądz sufragan lwowski [to jest Łukasz Kaliński, biskup łaciński od 1626 roku, wcześniej kustosz kapituły katedralnej, zmarły w 1633 roku], potem pan Samuel, sługa Jego Mości pana wojewody kijowskiego [to jest Tomasz Zamoyskiego; chodzi o Samuela Knutha, podskarbiego Jana Zamoyskiego, potem kanonika fromborskiego, zmarłego w 1613 roku] i wielu innych cnotliwych ludzi, którym niech Pan Bóg sowicie zapłaci wszelakim dobrem, gdyż ja dzięki ich dobrodziejstwu poratowałam się – zasiadłam sobie w kramie razem z moją córką, panną Zofią, aby móc znaleźć ratunek w starości, a swojej córce, pannie Zofii, coś dorzucić do wiana. Tak więc, skoro także panna Zofia swoją pracą w kramie ratowała mnie i dorabiała się wraz ze mną, płacąc moje długi, podczas gdy ja brałam u ludzi na kredyt, przeto teraz, abym swej duszy nie obciążyla, wyznaję, co komu jestem winna. Naprzód memu synowi, panu Krzysztofowi, jestem winna 50 złotych, ale on tam nabrał różnych rzeczy ode mnie z kramu, a do tego od czterech lat nie dawał mi po złotemu, jak to razem ze mną ustaliliśmy<sup>31</sup>.

---

1608-1626 (tamże, s. 3676, 371, 374, 380, 384, 388, 392, 396, 399, 403, 407, 410, 418, 421, 428, 430, 434, 437, 440, 446, 450, 456, 460, 464).

30 *Jasachy*, s. 480, 486.

31 *Zapisy sądu duchownego Ormian miasta Lwowa za lata 1625-1630 w języku ormiańsko-kipczackim*, wyd. E. Tryjarski, Kraków 2010, s. 191-195.

Wydziedziczywszy syna i drugą córkę, Hannę Bogdanową Norsesowiczową, Hoska Aksentowiczowa wszystko, co miała, razem z domem i kramem, zapisała Zofii, zalecając „niech uczyni to, co będzie jej wolą”, prosząc, aby „jej nikt w żadnej sprawie nie nagabywał, ani od niej jakichś inwentarzy żądał” i powierzając ją przyrodniemu bratu Jakubowi Iwaszkowiczowi.

Zaraz potem pojawił się jednak przed starszymi gminy ów nie-dobry syn Krzysztof i wbrew faktom oznajmił, że ponieważ „matka nie zachowała się zgodnie z prawem [...], protestuje przeciw ważności takiego testamentu, nieporządnego, nieurzędowo spisane go, stojącego w sprzeczności z prawem i artykułami ormiańskimi, spisane go potajemnie”<sup>32</sup>. Zmuszona więc była Zofia Aksentowiczówna, nadal niezamężna w 1629 roku („panna osiadła”), procesować się z bratem o „zapiecztowanie kramu” matczynego w latach 1628-1629. Po jakimś czasie wyszła za Hrehora Patrarowicza, Ormianina z Kamieńca, zmarłego około 1653 roku. Była matką całej gromady dzieci: Gatarine, Jurka, Jana, Zadika, Mariane i Anny<sup>33</sup>. Jeden z jej synów wstąpił do zakonu dominikanów, przybierając imię Michał, ukończył studia teologiczne w Rzymie (1667), zyskując tytuł lektora sztuk wyzwolonych i teologii, potem był kaznodzieją przy kościele dominikańskim pod wezwaniem Bożego Ciała we Lwowie (1671), przeorem klasztorów: św. Marii Magdaleny tamże i w Tyśmienicy, a 1683 roku rozważano w Rzymie jego kandydaturę na arcybiskupa lwowskiego Ormian. Miano już przedłożyć tę propozycję królowi, gdy o. Michał Patrarowicz zmarł 8 sierpnia 1685 roku w Podkamieniu<sup>34</sup>.

---

32 Tamże.

33 *Metryka katedry ormiańskiej we Lwowie za lata 1635-1732*, oprac. K. Stopka, M. Ł. Majewski, *Pomniki Dziejowe Ormian Polskich*, 3, Kraków 2020 (dalej: *Metryka*), s. 65, 68, 71, 76, 84, 92, 96, 393, 396, 399, 404, 412, 419, 422.

34 *Dzieje zjednoczenia Ormian polskich z Kościołem Rzymskim w XVII wieku, z dwóch rękopisów, z włoskiego i łacińskiego w przekładzie polskim*, wyd. A. Pawiński, seria: *Źródła Dziejowe*, 2, Warszawa 1876, s. 186; G. Petrowicz, *L'unione degli Armeni di Polonia con la Santa Sede (1626-1686)*, Roma 1950, s. 311; *Acta Nuntiaturae Polonae*, t. 34, red. M. Domin, vol. 6, Kraków 2008, s. 277 oraz vol. 7, Kraków 2012, s. 22. Aczkołwiek

Wspomnianą wyżej synową Jurka i Hoski Aksentowiczów, żoną Krzysztofa, była Barbara, córka Iwaszka Hołubowicza, o której posag też wynikł konflikt prawny<sup>35</sup>. Procesów miał zresztą Krzysztof wiele. W 1628 roku szwagier, Bogdan Nersesowicz, pozwał go o posag żony, który według krorąku z 1624 roku miał wynieść 2 tysiące złotych. Sądził się też w 1633 roku z siostrą Norsesowiczową, wtedy już wdową. Nazywano go w dokumentacji sądowej Jurkowiczem lub Oczkowskim. Skąd to drugie miano, tego nie udało się ustalić. Nie było go wśród żywych już przed 1643 rokiem, gdy jego małżonka wzmiankowana jest w aktach sądu ormiańskiego jako wdowa. Ona sama zmarła niedługo przed 1669 rokiem<sup>36</sup>. O spadek po niej starali się Hołub i Jakub Jaśkiewiczowie, jej kuzyni<sup>37</sup>.

Był jeszcze jeden syn Jurka i Hoski Aksentowiczów – Mikołaj, ale musiał umrzeć młodo, gdyż matka o nim nie wspomina w swym barwnym i szczegółowym testamencie z 1628 roku.

## Legenda o „Atabekach”

To właśnie od imienia syna Aksenta – Atabeja – dominikanin Klemens Chodykiewicz, panegirzysta XVIII-wieczny pochodzenia ormiańskiego, ukuł legendę o pochodzeniu Augustynowiczów od rodziny panującej niegdyś w Armenii<sup>38</sup>. Powtórzył ją za nim Tomasz

---

zalecali go teatyni ze Lwowa, nuncjusz Opizio Pallavicini uważał, że choć jest wykształcony, to jednak zapalczywy i prawie zawsze oporny poleceniom Kongregacji Rozkrzewiania Wiary, a poza tym ma małe szanse, aby pozyskać sobie przychylność Ormian lwowskich i być przez nich wybrany na biskupa.

35 Ślub prawdopodobnie w 1623 roku (MBW: sygn. 441, k. 287v-188, krorąk z 17 sierpnia 1627 roku, kompromis konfliktu o krorąk w 1633 roku).

36 Testament Barbary Augustynowiczowej, wdowy po Krzysztofie zwanym Oczkowskim, z 1668 roku, wpisany został do Akt radzieckich Lwowa 11 lutego 1669 roku, zapewne zaraz po jej śmierci (CPAHUL: f. 52, op. 2, spr. 77, s. 48-55).

37 CPAHUL: f. 52, op. 2, spr. 76, AICA, 1668, s. 700.

38 K. Chodykiewicz, *Noe Czworakiey Godności Jasnie Wielmożny Jan Tobiasz Augustynowicz, Arcy-Biskup Lwowski [...]* Z Arki Kościoła Swego

Święcki<sup>39</sup>, uwierzył w nią Sadok Barącz, zastrzegając się tylko, że „kiedy zaś nazwę pierwotną zmienili, nie mamy o tem żadnej w pismach wiadomości”<sup>40</sup>, wzbudziła sceptycyzm u Antoniego Schneidra<sup>41</sup>, ale przetrwała nawet w tak ambitnym dziele, jak herbarz Seweryna Uruskiego, którego autorzy ostrożnie nazywali ją „tradycją”<sup>42</sup>, wciąż jest powtarzana.

Jak zrodził się pomysł udostojnienia Augustynowiczów, łatwo wytłumaczyć. Imię Atabej (czasem: Atabeg, Atabek) znaczy dosłownie: „ojciec beja”, czyli księcia lub dostojnika. Ormianie polscy zapożyczyli je z języka kipczackiego, w którym się porozumiewali między sobą aż do schyłku XVII wieku. Chodykiewicz znał starożytną i średniowieczną historię Armenii, wiedział, że pojawiali się w niej atabegowie w znaczeniu wysokiej rangi dostojników. Ten dziedziczny tytuł szlachecki pochodzenia seldżuckiego, oznaczający gubernatora jakiegoś narodu lub prowincji, względnie wychowawcę następcy tronu, upowszechnił się na Kaukazie, w Persji, Turcji i Egipcie, a z czasem stał się imieniem własnym lub nazwiskiem. Panegirzysta skorzystał więc z tego zjawiska, aby przypochlebić się Augustynowiczom – rodzinie możnej i wpływowej we Lwowie w jego czasach.

Tymczasem kolejne pokolenia Aksentowiczów tkwiły nadal w kupiectwie całkowicie, z dużym dla siebie zadowoleniem i korzyścią,

---

[...] *Przy Assystującej sobie Boskiey Łasce, Wychodzący. Wdzięczną pamięcią [...] Jozefa Augustynowicza [...] Synowca, w nieśmietelney Sławie, Zatrzymany [...]*, Lwów 1752 (niepaginowana dedykacja).

39 T. Święcki, *Historyczne pamiątki znamienitych rodzin i osób dawnej Polski*, t. 1, wyd. J. Bartoszewicz, Warszawa 1858, s. 274.

40 S. Barącz, *Żywyoty*, s. 33.

41 [A. Schneider], *Encyklopedya do krajoznawstwa Galicyi pod względem historycznym, statystycznym, topograficznym, orograficznym, geognostycznym [...]*, t. 1, zebrał i wydał A. Schneider, Kraków 1871, s. 399 (hasło: *Augustynowiczowska kamienica*).

42 S. Uruski, *Rodzina. Herbarz szlachty polskiej*, t. 1, Warszawa 1904, s. 52; *Materiały do historii rodzin Łosiów, Boguckich, Hilarowiczów i rodzin z nimi spokrewnionych i spowinowaconych*, Łódź–Warszawa 1947, odbitka na prawach rękopisu, zeszyt 2, s. 5 (Biblioteka Jagiellońska: sygn. 239867 III Rara).

a mariażami nie sięgali poza mieszczańską dzielnicę ormiańską Lwo-wa. Z wolna rosła pozycja majątkowa i socjalna niektórych z nich. Do-tyczy to zwłaszcza dzieci Atabeja Aksentowicza, które preferowały już nazwisko Augustynowicz, acz nie zawsze konsekwentnie.

### **Potomkowie Atabeja: Atabej-chzy**

Córka Atabeja, jedyna nam znana, Manuszag, wyszła za Harandona Tochtamysz-oghlu (1616)<sup>43</sup>. Z jej córek Kasko Harando-nówna już po śmierci ojca przykładowie wydała się za Lazara Minas-oghlu (Minasowicza)<sup>44</sup>, ale druga, Hanuszka, rok później (marzec 1644), zyskała sobie w ormiańskim Lwowie nieszczególną opinię, gdyż „z dopuszczenia diabła dopuściła się”<sup>45</sup>. Mówiąc wprost – urodziła nieślubne dziecko, synka Nigola, splodzonego z pewnym Awedikowi-czem (chyba Miskiem).

### **Potomkowie Atabeja: Dertorosowiczowie**

Toros Atabej-oghlu (Atabejowic, Augustynowicz) wybrał po-wołanie duchowne w Apostolskim Kościele Ormiańskim. Jako diakon był kopistą ksiąg liturgicznych. Ożenił się z Anną (Hanuchną), córką Lazara Stepan-oghlu, siostrą Andrzeja Lazarowicza<sup>46</sup>, i zaraz potem – zgodnie z kanonami swego Kościoła – przyjął święcenia kapłańskie. Zmarł młodo, w pięć lat po święceniach, we wrześniu 1621 roku. Zdą-żył jednak zapoczątkować osobną linię rodu. Jego dzieci, zwane Der-torosowiczami (z racji kapłaństwa Torosowi przysługiwał tytuł „der”), mimo sieroctwa poradziły sobie w życiu.

Było ich co najmniej czworo. O synu Tobiaszu, imienniku dziadka, niewiele wiadomo. Podpisał się „własnyj cholum bila” (wła-snoręcznie) pod kwitacją z 1642 roku krorąku jednej z sióstr, jako

---

43 MBW: sygn. 441, k. 140v-141, krorąk z 13 kwietnia 1616 roku.

44 MBW: sygn. 441, k. 3v-4v, krorąk z 5 lutego 1643 roku.

45 *Metryka*, s. 84, 412.

46 MBW: sygn. 441, k. 139v-140v, krorąk 29 lutego 1616 roku.

Tobiasz (już nie Atabej)<sup>47</sup>. Siostra ta, Zofia, wyszła za Krzysztofa Zadykowicza (Chaczka Zadik-oghlu), syna Zadika Tumanowicza, kupca i starszego gminy lwowskiej, a więc członka jej establishmentu. W październiku 1662 roku była już bezdzietną wdową<sup>48</sup>. Kolejna córka der Torosa, Emerancja (Manuszag), została żoną Miska Jakubowicza Pełki, syna Hrehora ze Lwowa. Zmarła 8 kwietnia 1664 roku, jak czytamy na jej epitafium, umieszczonym w północnym dziedzińcu katedry ormiańskiej, które zachowało się do dziś<sup>49</sup>.

Drugi syn der Torosa, Lazar, posiadacz statusu obywatela Lwowa (1665)<sup>50</sup>, żenił się dwukrotnie, za każdym razem z przedstawicielkami najbogatszych rodzin ormiańskich tego miasta – najpierw Domażyńskich (potomnych rodu Wasylowiczów, podobnie jak oni pretendujących do szlachectwa), potem Hadziewiczów. Pierwszą żoną, Haldzuchnę Domażyńską, poślubił w 1646 roku. Po owdowieniu, 15 lutego 1655 roku, podpisał krórkę z nowym teściem, Krzysztofem (Chaczkiem) Hadziejowiczem, bogatym kupcem lwowsko-warszawskim, o rękę jego 17-letniej wtedy córki Mariam. W dokumencie tym nazwaną została Marancją<sup>51</sup>. Brat nowej żony, Mikołaj Hadziewicz, był osobą niezwykle wpływową na dworze królewskim w Warszawie, a jednocześnie starszym gminy lwowskiej od 1687 roku<sup>52</sup>. Sadok Barącz napisał o nim, że „dla niepospolitej w prawie biegłości i uprzejmej chęci służenia dobru powszechnemu został rzecznikiem całego narodu ormiańskiego, dla tego też najczęściej przebywał w Warszawie”<sup>53</sup>.

---

47 Biblioteca del Monastero Mechitarista di San Lazzaro degli Armeni in Venezia: sygn. 1788, k. 167-168, kwitacja krórkę z 2 kwietnia 1642 roku, podpisana przez wdowę po Torosie, „popadię” Hanuchnę; wzmiankowany krórkę z 7 września 1638 roku.

48 MBW: sygn. 447, k. 399-401v, otwarcie testamentu Krzysztofa Zadykowicza z 22 września 1662, 6 października 1662 roku.

49 J. Chrzęszczewski, *Kościół Ormian polskich*, Warszawa 2001, s. 95.

50 *Album*, t. 1, s. 302, 346, nr 3885, 4263.

51 MBW: sygn. 447, s. 329.

52 M. Kapral, *Urządnicy miasta Lwowa w XIII-XVIII wieku*, Toruń 2008, s. 258, nr 982.

53 S. Barącz, *Żywoty*, s. 137.

Marancja Lazarowa Augustynowiczowa prowadziła własną działalność finansową<sup>54</sup>. Owdowiała 13 czerwca 1676 roku. Z dwóch małżeństw Lazar Dertorosowicz Aksentowicz miał co najmniej czworo dzieci, przy czym o dwojgu z nich: Anuszy (urodzonej w 1659 roku) i Tobiaszu (urodzonym w 1664 roku)<sup>55</sup>, nic bliższego nie udało się ustalić.

Najstarszym synem Lazara (z pierwszej żony) był Jan Lazar[owicz] Augustynowicz, ksiądz ormiański, ale już katolicki, „prałat osobliwych cnót i wysokiego rozumu”, pełniący przy katedrze lwowskiej funkcje: zakrystiana (1701), oficjała (1705) i dziekana (1716), a w 1719 roku – administratora lwowskiej archidiecezji ormiańskiej pod nieobecność ówczesnego ordynariusza, a prywatnie jego kuzyna, Jana Tobiasza Augustynowicza, który wyjechał do Rzymu. Zmarł 16 października 1723 i został pochowany przy katedrze<sup>56</sup>.

Młodszy Lazarowicz, Krzysztof (1661-1697), był dzieckiem z drugiego małżeństwa. Kupiec, obywatel lwowski (1696)<sup>57</sup>, dobrze ożeniony z Eufrozyną Bernatowiczówną, zmarł tak młodo (36 lat), że jego potomstwo nie mogło go nawet zapamiętać, a wdowa, młodsza od niego, rychło znalazła sobie drugiego męża – w 1701 roku wyszła za Kazimierza Wilczka, rajcę i burmistrza miasta Lwowa, wywodzącego się ze starej i wpływowej mieszczańskiej rodziny polskiej<sup>58</sup>. Ta linia Augustynowiczów nosiła przydomek Konik<sup>59</sup>, a składała się z pięciorga

---

54 W Aktach grodzkich lwowskich (CPAHAUL: f. spr. 234, s. 21) znajduje się umowa zawarta przez nią z niejakim Kozarskim w 1661 roku. Podpisana na niej jest jako Maria Łukaszowa Augustynowiczowa (A. Boniecki, A. Reyski, *Herbarz polski*, t. 7, Warszawa 1904, s. 225).

55 *Metryka*, s. 112, 121, 142, 190, 196, 351, 437, 446, 467, 514, 520, 662.

56 S. Barącz, *Żywoty*, s. 34-35; tenże, *O rękopismach kapituły ormiańskiej lwowskiej*, „Dziennik Literacki” 1853, nr 35, s. 275; *Metryka*, s. 31, 35, 37, 38, 118, 122, 126, 132, 133, 143, 146, 157, 201, 202, 443, 447, 450, 456, 457, 468, 471, 481, 525.

57 *Album*, t. 1, s. 346, nr 4263.

58 Biblioteka Narodowa Ossolineum (dalej: BNO) we Wrocławiu: sygn. 1731/II, Protokół testamentów, krorąków, pirścieni poświęcenia Anno 1702 ad Annum 1728, k. 328.

59 BNO: sygn. 1730/II, Acta iudicii civitatis Leopoliensis nationis Armanae, k. 44.

dzieci Krzysztofa Lazarowicza: Mikołaja, urodzonego w 1692 roku, Anny, Marianny, urodzonej w 1696 roku, i bliźnięt Stefana Jana i Teresy Zofii, urodzonych w roku śmierci ojca<sup>60</sup>. O opiekunstwo nad nimi toczył się proces aż przed sądem zadwornym w Warszawie pomiędzy starszymi gminy a ojczymem Wilczkiem<sup>61</sup>.

Mikołaj Krzysztof[owicz] (1692-1767) wstąpił do zgromadzenia misjonarzy, był przełożonym kilku klasztorów (Lublin, Kraków), uzdolnionym budowniczym („doświadczony w architekturze cywilnej”)<sup>62</sup>, wreszcie długoletnim (od 1739) kaznodzieją w Warszawie. Anna wyszła za krewnego ojczyma, Wilczka. Marianna wstąpiła do nowicjatu benedyktynek ormiańskich we Lwowie (1713), wnosząc posag w wysokości aż 2 tysięcy złotych<sup>63</sup>, rok potem złożyła profesję i przybrała zakonne imię Alojza. Pełniła w klasztorze funkcję kustoszki, potem jako kierowniczka robót („fabryczna” i dozorczydni) nadzorowała prace nad odbudową klasztoru w latach 1748-1752, następnie była przeoryszą, a w 1757 roku została obrana ksienią. Zmarła 24 lipca 1772 roku<sup>64</sup>.

---

60 *Metryka*, s. 190, 215, 220, 233, 238, 514, 538, 543, 555, 559.

61 Biblioteka Naukowa PAN i PAU w Krakowie: sygn. 709, Księga spisanych praw, przywilejów i dekretów similia preiudicata z różnych kontrowersyi potrzebnych ludziom nacyi ormiańskiej we Lwowie teraz i na potym będącym od s[wietej] pamięci krolów polskich i teraz szczęśliwie panującego Władysława IV miłościwie nadanych, pozwolonych i ferowanych tu niżej będących za pilnym rewidowaniem i suptem pp[anów] starszych, a staraniem pana Iwaszka Bernatowicza, starszego teyże nacyjej ludzi będących na tenczas we Lwowie dnia 1 stycznia roku Pańskiego 1640, k. 243-246.

62 K. Stopka, A. A. Zięba, A. Artwich, M. Agopsowicz, *Ormiańska Warszawa*, Warszawa 2012, s. 49 (cytowane określenie autorstwa Józefa Epifaniasza Minasowicza).

63 Lwowska Narodowa Biblioteka Naukowa im. Wasyla Stefanyka NAN Ukrainy we Lwowie: sygn. 1726/II, s. 67, z rozliczeń opiekunstwa nad córkami Krzysztofa i Eufrozyny z 1 sierpnia 1728 roku wynika, że druga córka, Anna Wilczkowa, otrzymała posag w wysokości 3 tysięcy złotych.

64 O niej zob. szerzej: A. A. Zięba, J. Sławińska, *Biogramy założycielki i księżki benedyktynek ormiańskich we Lwowie*, w: *Niewiasty z pastorałami*, s. 25-26.

## Potomkowie Atabeja: Sabatowie

Od kolejnego syna Atabeja, Krzysztofa (Chaczka), zmarłego przed 1640 rokiem, wywodziła się inna jeszcze linia Augustynowiczów – o przydomku Sabat. Żoną tego Krzysztofa była Hanuchna, córka Stecka Misko-oghlu (Mikołajowicza) i Kasko Wartan-chzy<sup>65</sup>.

Syna, Stefana – jedyne, o jakim wiemy – kupca, ożenili z Katarzyną (Katariną) Kobaczowską, córką Chaczka Tumanowicza Kobaczowskiego (Kubaczowskiego – od Kubaczówki, wsi ormiańskiej pod Kamieńcem Podolskim), obywatela Lwowa (1643), a siostrą Lazara, w stanie duchownym Mikołaja Kobaczowskiego (zm. 1707), proboszcza ormiańskokatolickich kościołów św. Anny i Jakuba (tzw. monasterskiego) na przedmieściu Lwowa. Stefan zmarł w 1676 roku<sup>66</sup>, testament jego małżonki datowany jest na 4 kwietnia 1702 roku.

Kolejne pokolenie Augustynowiczów Sabatów reprezentowało dwóch braci<sup>67</sup>. Starszy z nich, Krzysztof<sup>68</sup>, długo wraz z żoną i dziećmi mieszkał na koszt matki, prowadząc zakupiony przez nią kram „kozacki”. Zmarł przed 1707 rokiem<sup>69</sup>, pozostawiając dwie córki: Annę, urodzoną w 1692 roku, wydaną za Krzysztofa Zadykiewicza<sup>70</sup>, i Katarzynę,

---

65 MBW: sygn. 441, k. 152, krorąk z 1 kwietnia 1621 roku. Kasko Wartan-chzy, matka Hanuchny Aksentowiczowej, wspomina ją w swym testamencie z 6 września 1643 roku już jako wdowę. Kawitacja legatu, jaki jej zapisała matka, miała miejsce 5 maja 1644 roku (MBW: sygn. 447, k. 28-29v, 46-48).

66 *Metryka*, s. 127, 196, 451, 519.

67 Była jeszcze córka Anna, ochrzczona 27 października 1667 roku (*Metryka*, s. 127, 451).

68 Krzysztof Augustynowicz „alias Sabat” zapisany jest kilkakrotnie w metryce katedry ormiańskiej w latach 90. XVII wieku (*Metryka*, s. 217, 222, 226, 233, 234, 240, 540, 544, 548, 555, 561).

69 Tak wynika z testamentu matki. Wdowa po Krzysztofie, Eufrozyna (Fruzyna), wyszła za Mikołaja Wartanowicza (BNO: sygn. 1731, k. 9-11).

70 *Metryka*, s. 127, 217, 304, 314, 326, 331, 341, 345, 346, 349, 358, 364, 376, 382, 451, 540, 619, 628, 649, 644, 653, 657, 658, 661, 668, 673, 684, 689. Była matką chrzestną kilku Żydów podczas głośnej konwersji frankistów na katolicyzm.

urodzoną w 1693 roku, zamężną za Grzegorzem Achnazarowiczem<sup>71</sup>, oraz syna Stefana juniora, urodzonego w 1696 roku. Stefan ten jest tożsamy z Augustynowiczem, który karierę kupiecką zrobił w Piotrkowie Trybunalskim<sup>72</sup>.

Teodor, syn młodszy Stefana seniora, uzyskał obywatelstwo Lwowa w 1707 roku<sup>73</sup>. W tym samym roku był egzekutorem testamentu wuja, księdza Mikołaja Kubaczowskiego<sup>74</sup>. Był tutorem bratanicy żony, Heleny Zachariasiewiczówny Kopczykówny, córki Mikołaja, którą wydał najpierw za Józefa Jaśkiewicza, a gdy owdowiała – za swego bratanka, Stefana Augustynowicza z Piotrkowa Trybunalskiego (1726)<sup>75</sup>.

Dzieje Augustynowiczów Sabatów, mieszkających poza Lwowem, wymagają jeszcze dokładniejszego rozpoznania.

### **Potomkowie Atabeja: Lazarowiczowie**

Największe znaczenia osiągnęło we Lwowie potomstwo innego jeszcze Atabejowicza – Lazara Tobiasz[owicza] (1585 – 23 marca 1659), którego epitafium – ufundowane przez syna Jana – znajduje się w katedrze ormiańskiej<sup>76</sup>. Był to kupiec, rzecz jasna, prowadzący handel z Brodami. Z żoną, Orszulą Juskówną Krzysztofowiczówną, miał troje dzieci.

Córka, również Orszula, wyszła (1655) za przedstawiciela tej rodziny, dla której pracowało pierwsze pokolenie Augustynowiczów –

---

71 Dzieci Achnazarowiczów były chrzczone w katedrze ormiańskiej (*Metryka*, s. 222, 299, 311, 319, 326, 332, 342, 346, 350, 355, 264, 378, 544, 614, 626, 633, 639, 645, 654, 658, 661, 666, 673, 685).

72 *Metryka*, s. 234, 555; S. Barącz, *Żywoty*, s. 42.

73 Krorak Teodora Augustynowicza i Marianny z Zachariasiewiczów Kopczyków, siostry Mikołaja Zachariasiewicza Kopczyka, z 15 stycznia 1707 roku (BNO: sygn. 1731, k. 178). Teodor jest wzmiankowany w metryce katedry ormiańskiej wielokrotnie w latach 1708, 1711, 1712, 1715 (*Metryka*, s. 280, 293, 299, 304, 309, 311, 322, 323, 345, 349, 350, 352, 353, 382, 597, 609, 614, 619, 624, 625, 636, 657, 661, 663, 664, 689).

74 BNO: sygn. 1731, k. 52.

75 BNO: sygn. 1731, k. 281.

76 J. Chrzęszczewski, *Kościół*, s. 88-89.

Gabriela (Awedyka) Bernatowicza, syna Awedyka, jerespochana gminy lwowskiej, a więc najważniejszego jej urzędnika samorządowego<sup>77</sup>. Druga córka, Anna, poślubiła Ohana Wartanowicza, Ormianina jazłowieckiego<sup>78</sup>. Z Bernatowiczówną też – Anną – ożenił się<sup>79</sup> syn Lazara, wspomniany już Jan (zm. 20/28 listopada 1689), zwany też Ohasiem (zdrobnienie od ormiańskiej wersji imienia Howannes). Była ona córką Mikołaja (Miska) Jakubowicza Bernatowicza, a wdową po Ohasiu Lazarowiczu. Jan Augustynowicz, podobnie jak przodkowie kupiec orientalny, był pierwszym z rodu, który wszedł w szeregi ormiańskiego establishmentu Lwowa. W marcu 1667 roku został wybrany do rady starszych gminy<sup>80</sup>. Świadczyło to jednocześnie o jego zamożności i pozycji rodu. Zmarł około 1689 roku.

Dwanaścioro (co najmniej) dzieci Jana i Anny, praprawnukowie i praprawnuczki Aksenta Jurkowicza Owakowicza, zdominowało dalszą historię domu Augustynowiczowskiego, która od ich pokolenia toczyć się zaczęła już nie tylko we Lwowie, ale w wielu innych miastach Królestwa Polskiego – Warszawie, Piotrkowie, Łucku, Lublinie, Łowiczu. Świadczy to o niezwyklej dynamice i awansie rodu, więc słusznie druga połowa XVII i pierwsza połowa XVIII wieku mogą być nazwane złotym okresem w jego historii.

---

77 MBW: sygn. 447, k. 331, krorąk z 15 sierpnia 1655 roku.

78 MBW: sygn. 447, k. 262-262v, krorąk z 13 lutego 1651 roku.

79 MBW: sygn. 447, k. 397, nyszan (poświęcenie pierścieni ślubnych) z 6 czerwca 1662 roku. Anna Augustynowiczowa zmarła po 30 maja 1716 roku.

80 M. Kapral, *Urzednicy*, s. 257, nr 967.

## Bibliografia

- Acta Nuntiaturae Polonae*, t. 34, red. M. Domin, vol. 6, Kraków 2008; vol. 7, Kraków 2012.
- Album civium Leopoliensium. Rejestry przyjęć do prawa miejskiego we Lwowie 1388-1783*, t. 1, wyd. A. Janeczek, Poznań–Warszawa 2005.
- Album studiosorum Universitatis Cracoviensis*, t. 3, fasc. 1, (*ab anno 1551 ad annum 1589*), red. A. Chmiel, Kraków 1896.
- Barącz S., *O rękopismach kapituły ormiańskiej lwowskiej*, „Dziennik Literacki” 1853, nr 35, s. 275.
- Barącz S., *Żywoty sławnych Ormian w Polsce*, Lwów 1856.
- Biblioteca del Monastero Mechitarista di San Lazzaro degli Armeni in Venezia: sygn. 1788.
- Biblioteka Narodowa Ossolineum we Wrocławiu: sygn. 1731/II, Protokół testamentów, krorąków, pirścieni poświęcenia Anno 1702 ad Annum 1728; sygn. 1730/II, Acta iudicii civitatis Leopoliensis nationis Armanae.
- Biblioteka Naukowa PAN i PAU w Krakowie: sygn. 709, Księga spisanych praw, przywilejów i dekretów similia preiudicata z różnych kontrowersyi potrzebnych ludziom nacyi ormiańskiej we Lwowie teraz i na potym będącym ods[wietej] pamięci krolów polskich i teraz szczęśliwie panującego Władysława IV miłościwie nadanych, pozwolonych i ferowanych tu niżej będących za pilnym rewidowaniem i suptem pp[anów] starszych, a staraniem pana Iwaszka Bernatowicza, starszego teyże nacyjej ludzi będących na tenczas we Lwowie dnia 1 stycznia roku Pańskiego 1640.
- Boniecki A., Reyski A., *Herbarz polski*, t. 7, Warszawa 1904.
- Centralne Państwowe Archiwum Historyczne Ukrainy we Lwowie: f. 52, op. 2, spr. 223-224, Księga ławnicza Lwowa; spr. 10, 77, Akta radzieckie lwowskie; spr. 76, 516, 524, Acta iudicii civilis Armenorum; spr. 234, Akta grodzkie lwowskie.
- Chodykiewicz K., *Noe Czworakiey Godności Jasnie Wielmożny Jan Tobiasz Augustynowicz, Arcy-Biskup Lwowski [...] Z Arki Kościoła Swego [...] Przy Assystuiącey sobie Boskiey Łasce, Wychodzący. Wdzięczną pamięcią [...] Jozefa Augustynowicza [...] Synowca, w nieśmietelney Sławie, Zatrzymany [...]*, Lwów 1752 (niepaginowana dedykacja).
- Chrzęszczewski J., *Kościoły Ormian polskich*, Warszawa 2001.
- Dzieje zjednoczenia Ormian polskich z Kościołem Rzymskim w XVII wieku, z dwóch rękopisów, z włoskiego i łacińskiego w przekładzie polskim*, wyd. A. Pawiński, seria: *Źródła Dziejowe*, 2, Warszawa 1876.

- Jasachy gminy Ormian lwowskich za lata 1598-1638 w języku ormiańsko-kipczackim*, oprac. K. Stopka, seria: *Pomniki Dziejowe Ormian Polskich*, 2, Kraków 2020.
- Kapral M., *Urzędnicy miasta Lwowa w XIII-XVIII wieku*, Toruń 2008.
- Lwowska Narodowa Biblioteka Naukowa im. Wasyla Stefanyka NAN Ukrainy we Lwowie: sygn. 1726/II.
- Materiały do historii rodzin Łosiów, Boguckich, Hilarowiczów i rodzin z nimi spokrewnionych i spowinowaconych*, Łódź–Warszawa 1947, odbitka na prawach rękopisu, zeszyt 2 (Biblioteka Jagiellońska: sygn. 239867 III Rara). Mechitaristenbibliothek w Wiedniu: sygn. 441, sygn. 447.
- Metryka katedry ormiańskiej we Lwowie za lata 1635-1732*, oprac. K. Stopka, M. Ł. Majewski, seria: *Pomniki Dziejowe Ormian Polskich*, 3, Kraków 2020.
- Petrowicz G., *L'unione degli Armeni di Polonia con la Santa Sede (1626-1686)*, Roma 1950.
- [Schneider A.], *Encyklopedia do krajoznawstwa Galicyi pod względem historycznym, statystycznym, topograficznym, orograficznym, geognostycznym [...]*, t. 1, zebrał i wydał A. Schneider, Kraków 1871, s. 399 (hasło: *Augustynowiczowska kamienica*).
- Stopka K., *Języki osławiane pismem. Alografia kipczacko-ormiańska i polsko-ormiańska w kulturze dawnej Polski*, Kraków 2013, s. 225-231 (testament Bartoszowiczowej).
- Stopka K., *Milites et nobiles: Ormianie a stan szlachecki Królestwa Polskiego i Wielkiego Księstwa Litewskiego od XIV do XVI wieku*, „Lehahayer” 2018, nr 5, s. 15-106.
- Stopka K., Zięba A. A., Artwich A., Agopsowicz M., *Ormiańska Warszawa*, Warszawa 2012.
- Święcki T., *Historyczne pamiątki znamienitych rodzin i osób dawnej Polski*, t. 1, wyd. J. Bartoszewicz, Warszawa 1858.
- Uruski S., *Rodzina. Herbarz szlachty polskiej*, t. 1, Warszawa 1904.
- Zapisy sądu duchownego Ormian Lwowa za lata 1451-1564*, wyd. E. Tryjarski (w druku).
- Zięba A. A., *Mniszki świętej Rypsymy i benedyktyнки ormiańskie – fenomen pobożności etnicznej*, w: *Niewiasty z pastorałami. Portrety księń klasztoru benedyktynek ormiańskich we Lwowie: historia, konteksty, konserwacja*, red. A. A. Zięba, Warszawa–Kraków 2021, s. 113-200.
- Zięba A. A., Sławińska J., *Biogramy założycielki i księń benedyktynek ormiańskich we Lwowie*, w: *Niewiasty z pastorałami. Portrety księń klasztoru benedyktynek ormiańskich we Lwowie: historia, konteksty, konserwacja*, red. A. A. Zięba, Warszawa–Kraków 2021, s. 13-46.

# Sprawozdanie Zarządu Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego za okres kadencji 2022-2026

W okresie sprawozdawczym Zarząd Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego konsekwentnie realizował cele statutowe, rozwijając działalność społeczną, kulturalną i naukową, a także wzmacniając integrację środowiska ormiańskiego w Polsce. Aktywność Towarzystwa koncentrowała się wokół organizacji wydarzeń, obchodów jubileuszowych, działalności wydawniczej oraz systematycznego publikowania „Biuletynu Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego”.

## Imprezy, spotkania i działalność integracyjna

W minionym okresie Towarzystwo organizowało szereg spotkań o charakterze popularnonaukowym, integracyjnym i edukacyjnym. W siedzibie Towarzystwa oraz we współpracy z instytucjami akademickimi i partnerami zewnętrznymi odbywały się wykłady i prelekcje poświęcone historii Ormian, współczesnej sytuacji Armenii i regionu Kaukazu, problematyce ludobójstwa Ormian, kulturze diaspory oraz zagadnieniom tożsamościowym.

W marcu 2023 roku zorganizowano spotkanie z dr. Andrzejem Glińskim, podczas którego zaprezentowano grę edukacyjną *Ormiańscy Bracia*, poświęconą historii polskich Ormian. 22 kwietnia 2023 roku odbył się wykład dr. Jana Brodowskiego pt. „Kaukaz Południowy a wojna w Ukrainie”. 17 czerwca 2023 roku miał miejsce wykład dr hab. Renaty Król-Mazur pt. „Zbrodnie wojenne popełnione na ludności ormiańskiej w czasie II wojny karabaskiej”, w którym uczestniczyli przedstawiciele środowiska ormiańskiego oraz zaproszeni goście, w tym konsul honorowy Republiki Armenii w Polsce. 1 lipca 2023 roku odbyła się prelekcja Piruzy Nazaryan, dotycząca programów społeczno-kulturalnych w środowisku ormiańsko-amerykańskim i ormiańsko-włoskim, a 14 października 2023 roku prelekcję pt. „Ludobójstwo Ormian wczoraj a dziś – pamięć i przesłanie” wygłosił Kamil

Gleń. 2 grudnia 2023 roku odbył się wykład Sevaka Ermiana zatytułowany „Los Ormian w Iranie i Libanie w obecnych czasach”.

Istotnym elementem działalności była kontynuacja tradycyjnych uroczystości liturgicznych, w tym obchodów święta Objawienia Pańskiego – 6 stycznia w latach 2023, 2024, 2025 i 2026 – celebrowanych w Kościele św. Mikołaja w Krakowie przez ks. prof. Józefa Naumowicza. Corocznie włączano się również w obchody rocznicy ludobójstwa Ormian w kwietniu, uczestnicząc w modlitwie, Marszu Pamięci oraz spotkaniach refleksyjnych upamiętniających ofiary tragedii z lat 1915-1917. Wydarzenia te miały charakter zarówno religijny, jak i integracyjny, gromadząc członków Towarzystwa, przedstawicieli środowiska akademickiego, duchowieństwa oraz sympatyków kultury ormiańskiej.

Po czteroletniej przerwie powrócono do tradycji organizowania noworocznych spotkań członków Towarzystwa – pierwsze takie wydarzenie odbyło się 8 lutego 2024 roku, a kolejne spotkanie noworoczne miało miejsce 18 stycznia 2025 roku w siedzibie organizacji, z udziałem członków, sympatyków oraz Pełnomocnika Wojewody Małopolskiego ds. Mniejszości Narodowych i Etnicznych Tomasza Ocetkiewicza.

W 2024 roku działalność programowa została rozszerzona o nowe inicjatywy. 2 czerwca 2024 roku w Kolegium Kołłątaja Uniwersytetu Jagiellońskiego odbył się wykład ks. prof. Józefa Naumowicza pt. „Biblijny raj na terenie Armenii? Tradycja armeńska i łacińska”, zorganizowany wspólnie z Fundacją na rzecz Wspierania Studiów Armenistycznych im. Mesropa Masztoca. 20 grudnia 2024 roku zainaugurowano działalność Ormiańskiego Klubu Książki, nowej inicjatywy służącej regularnym spotkaniom wokół literatury ormiańskiej i budowaniu przestrzeni dyskusji. 17 grudnia 2024 roku odbyło się pierwsze spotkanie klubu, poświęcone powieści Narine Abgarjan *Z nieba spadły trzy jabłka*, które zapoczątkowało cykliczną formułę wydarzeń.

W 2025 roku działalność klubu była kontynuowana. W styczniu i lutym 2025 roku odbyły się kolejne spotkania, podczas których omawiano m.in. książkę *Armenia. Karawany śmierci* Andrzeja Brzezieckiego i Małgorzaty Nocuń oraz powieść Zoi Pirzad *Jutro Wielkanoc*.

22 marca 2025 roku w siedzibie OTK odbył się wyjątkowy Wieczór Poezji Ormiańskiej, zorganizowany wspólnie przez Ormiański

Klub Książki i Organizację Młodzieży Ormiańskiej w Polsce. Wydarzenie to było nie tylko okazją do spotkania miłośników literatury i kultury Armenii, lecz także hołdem złożonym jednemu z najwybitniejszych poetów ormiańskich XX wieku – Parujrowi Sewakowi.

W kwietniu 2025 roku kolejne spotkanie klubu poświęcono pamięci ofiar ludobójstwa Ormian i analizie książki Yves'a Ternona *Ormianie. Historia zapomnianego ludobójstwa*, a dyskusję poprowadził Kamil Gleń.

25 kwietnia 2025 roku członkowie Towarzystwa uczestniczyli w Marszu Pamięci zorganizowanym w 110. rocznicę ludobójstwa Ormian.

Towarzystwo podejmowało również działania na rzecz współpracy z instytucjami naukowymi i organizacjami partnerskimi w Polsce i za granicą. 13 czerwca 2024 roku odbyło się spotkanie z Pełnomocnikiem Wojewody Małopolskiego ds. Mniejszości Narodowych i Etnicznych, poświęcone wyzwaniom organizacyjnym i problematyce zachowania tożsamości. 6 lipca 2025 roku przedstawiciele Towarzystwa odwiedzili Klasztor Mechitarystów w Wiedniu, przekazując publikacje i podtrzymując współpracę biblioteczną. Władze Towarzystwa uczestniczyły także w wydarzeniach organizowanych przez inne środowiska ormiańskie oraz instytucje akademickie, wzmacniając sieć współpracy i wymiany doświadczeń.

Dr Tomasz Krzyżowski, reprezentując Ormiańskie Towarzystwo Kulturalne, dwukrotnie uczestniczył w audycji *Na Wschód od Zachodu* emitowanej na antenie Radia Kraków. W lutym 2025 roku rozmowa dotyczyła 20. rocznicy uchwalenia ustawy o mniejszościach narodowych i etnicznych, natomiast w czerwcu 2025 roku dyskusja koncentrowała się na działalności środowiska ormiańskiego w Krakowie oraz jego roli w życiu kulturalnym miasta.

Ponadto 24 listopada 2025 roku dr Krzyżowski wygłosił referat pt. „Działalność Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego na rzecz integracji środowiska ormiańskiego” podczas interdyscyplinarnej konferencji naukowej „Kraków – tygiel kulturowy. Przeszość, teraźniejszość, przyszłość”, zorganizowanej przez Uniwersytet Ignatianum w Krakowie. Wystąpienie to stanowiło prezentację dorobku Towarzystwa

w kontekście wielokulturowej tradycji Krakowa oraz współczesnych wyzwań integracyjnych.

## **Jubileusze i wydarzenia rocznicowe**

W dniach 3-4 czerwca 2025 roku w Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego Collegium Maius odbyła się jubileuszowa konferencja naukowa z okazji 35-lecia Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego, zorganizowana przez dr. Tomasza Krzyżowskiego, z udziałem władz Uniwersytetu Jagiellońskiego, konsula honorowego Republiki Armenii w Polsce Hracji Bojadżjana oraz Tomasza Ocetkiewicza – Pełnomocnika Wojewody Małopolskiego ds. Mniejszości Narodowych i Etnicznych, a także przedstawiciele administracji rządowej i samorządowej. W wydarzeniu uczestniczyło 18 prelegentów z różnych ośrodków naukowych w Polsce oraz około 100 gości, a program obejmował zarówno obrady naukowe, jak i uroczyste wręczenie tytułów honorowych: Adamowi Terleckiemu, Krzysztofowi Stefanowiczowi, Ewie Krzysztofowicz-Romek oraz prof. Antoniemu Amirowiczowi – w uznaniu ich wieloletniego zaangażowania i szczególnych zasług dla rozwoju Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego oraz działań na rzecz ochrony i promocji dziedzictwa ormiańskiego w Polsce. Obchody dopełniła jubileuszowa kolacja z udziałem licznych gości oraz spotkanie integracyjne w siedzibie Towarzystwa, wzmacniające więzi środowiska ormiańskiego.

Konferencja miała charakter interdyscyplinarny i stanowiła przestrzeń do prezentacji wyników badań, wymiany doświadczeń oraz dyskusji nad aktualnym stanem armenistyki w Polsce. Planowane jest przygotowanie i wydanie publikacji pokonferencyjnej, obejmującej teksty referatów wygłoszonych podczas obrad. Materiał ma stanowić trwałe podsumowanie dyskusji naukowych oraz dorobku badawczego zaprezentowanego w trakcie spotkania, a jednocześnie upowszechnić wyniki badań nad historią, kulturą i tożsamością Ormian w Polsce.

W omawianym okresie sprawozdawczym odbyło się również uroczystość z okazji 85. rocznicy urodzin prof. Andrzeja Pisowicza – honorowego członka Towarzystwa, przez wiele lat redaktora „Biuletynu OTK”. Wydarzenie było wyrazem wdzięczności i uznania za jego wkład

w rozwój badań nad językiem, literaturą i kulturą ormiańską, a także za działalność dydaktyczną i wydawniczą, która przez lata wzmocniła potencjał naukowy Towarzystwa.

## Publikacje książkowe

Istotnym obszarem działalności Towarzystwa była systematycznie rozwijana aktywność wydawnicza i przekładowa, której celem pozostaje upowszechnianie literatury ormiańskiej w języku polskim oraz wzbogacanie zaplecza naukowego dla badań armenistycznych. W okresie sprawozdawczym ukazały się kolejne przekłady klasycznych i znaczących tekstów literatury ormiańskiej, przygotowane we współpracy z tłumaczami oraz specjalistami w zakresie historii i kultury Armenii.

Wśród publikacji wydanych przez Ormiańskie Towarzystwo Kulturalne w ostatnich latach znalazły się trzy istotne pozycje literackie, stanowiące ważny wkład w popularyzację klasyki literatury ormiańskiej w języku polskim. W 2023 roku Towarzystwo opublikowało powieść Muracana (Grigora Ter-Howannisjana) *Geworg Marzpetuni* w tłumaczeniu dr. Stanisława Ulaszka i pod redakcją armenistyczną prof. Andrzeja Pisowicza; promocja książki odbyła się 27 maja 2023 roku w siedzibie Towarzystwa.

Kolejną pozycją był zbiór opowiadań Wahana Totowenca *Życie przy starodawnym rzymskim trakcie i inne opowiadania* (tłum. z rosyjskiego dr. Stanisław Ulaszek, redakcja armenistyczna prof. Andrzej Pisowicz, wydawnictwo Księgarnia Akademicka), którego promocja miała miejsce 25 maja 2024 roku. W maju 2025 roku ukazały się *Utwory wybrane* Howannesa Tumaniana, przełożone z języka rosyjskiego przez dr. Stanisława Ulaszka i opracowane redakcyjnie przez prof. Andrzeja Pisowicza; prezentacja tej książki odbyła się 17 maja 2025 roku w siedzibie Towarzystwa.

W 2026 roku planowane jest wydanie powieści Raffiego *Chent*, która stanowi kontynuację publikowanej od kilku lat serii przekładów. Książka jest aktualnie przygotowywana, została przetłumaczona i zredagowana. Dalsze prace prowadzi Księgarnia Akademicka.

## „Biuletyn Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego”

W okresie sprawozdawczym kontynuowano systematyczne wydawanie „Biuletynu Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego”. Ukazywały się kolejne numery podwójne obejmujące lata 2023-2025, przygotowywane w trybie ciągłym i dokumentujące najważniejsze obszary działalności Towarzystwa oraz problemy istotne dla środowiska ormiańskiego w Polsce i na świecie.

Poszczególne numery zawierały artykuły naukowe i popularnonaukowe, teksty wspomnieniowe, wywiady oraz opracowania dotyczące historii rodzin ormiańskich w Polsce, analizy współczesnych procesów politycznych i społecznych w regionie Kaukazu, w tym konfliktu o Górski Karabach, a także refleksje poświęcone problematyce ludobójstwa Ormian i jego znaczeniu w pamięci historycznej. Publikowano również sylwetki osób zasłużonych dla środowiska, materiały dokumentujące działalność Towarzystwa oraz relacje z organizowanych wydarzeń.

Wybrane numery miały charakter tematyczny, w tym m.in. wydanie poświęcone rodzinie Krzysztofowiczów. „Biuletyn” stanowił również przestrzeń prezentacji archiwalnych materiałów, wspomnień oraz wywiadów, które dokumentują ciągłość pokoleniową i dorobek środowiska. W latach 2022-2025 na łamach „Biuletynu Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego”, wydawanego przez Ormiańskie Towarzystwo Kulturalne, publikowali zarówno badacze akademicki, jak i członkowie społeczności ormiańskiej. Swoje teksty ogłaszali m.in. A. Kayumova (życie Ormian w Iranie oraz diaspory brytyjskiej), A. Pisowicz (wspomnienia i szkice literackie), G. Pełczyński (Ormianie w literaturze polskiej), Ł. Trzeciak (nazwiska polskich Ormian), A. Olszańska (korespondencja abp. Józefa Teodorowicza), B. Donigiewicz (biogram ks. Dionizego Kajetanowicza), K. Gleń (analiza skutków ludobójstwa Ormian), a także publikowano twórczość i dzienniki Tadeusza Łukasiewicza „Tigrana”.

Tematyka numerów obejmowała zagadnienia historyczne (ludobójstwo Ormian, dzieje duchowieństwa i elit ormiańskich), literaturoznawcze i translatorskie (Howannes Tumanian, Wahan Totowenc,

przekłady), wspomnieniowe i biograficzne (rodzina Krzysztofowiczów, Zdzisław Nikorowicz), a także problematykę tożsamości, życia diaspory i współczesnej aktywności mniejszości ormiańskiej w Polsce i na świecie. Istotne miejsce zajmowały również materiały dokumentacyjne: sprawozdania zarządu, relacje z uroczystości (m.in. odsłonięcie popiersia Teodora Axentowicza), fotorelacje rocznicowe oraz wywiady przeprowadzone przez dr. Krzyżowskiego z prof. Andrzejem A. Ziębą i Adamem Terleckim, co sprawia, że „Biuletyn” pełni równocześnie funkcję naukową, kronikarską i integracyjną.

Publikacja była regularnie dystrybuowana wśród członków Towarzystwa, przekazywana do bibliotek naukowych i instytucji partnerskich oraz udostępniana w wersji cyfrowej. „Biuletyn” pozostaje jednym z najważniejszych narzędzi dokumentowania aktywności organizacji oraz utrwalania pamięci o jej działalności i osobach związanych ze środowiskiem ormiańskim.

Aktywnie prowadziliśmy też profil Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego w portalu Facebook, publikując licznie informacje o charakterze kulturalnym, poświęcone kulturze mniejszości ormiańskiej w Polsce.

Bieżąca działalność Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego, w tym wydawanie książek i „Biuletynu Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego” oraz organizacja konferencji naukowych, była możliwa dzięki dotacji Ministra Spraw Wewnętrznych i Administracji. Otrzymane wsparcie finansowe stanowiło istotną podstawę realizacji zadań statutowych Towarzystwa w zakresie ochrony i upowszechniania dziedzictwa kulturowego mniejszości ormiańskiej w Polsce.

Na zakończenie Zarząd OTK pragnie złożyć podziękowania wszystkim członkom i sympatykom Towarzystwa, bez których ofiarności i zaangażowania nasza działalność w minionej kadencji nie byłaby możliwa.

Zarząd Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego



## SPIS TREŚCI:

- 3 Wstęp
- 5 Wywiad z Hraczją Bojadżjanem – przedstawicielem mniejszości ormiańskiej w Komisji Wspólnej Rządu i Mniejszości Narodowych i Etnicznych. Rozmawiał Kamil Gleń
- 20 Michał Bohosiewicz – „Moja” druga wojna światowa 1938-1944 (część 2)
- 61 ks. Włodzimierz Cieński – Trochę wspomnień o ks. Adamie Bogdanowiczu, kanoniku gremialnym katedry ormiańskiej we Lwowie
- 70 Andrzej A. Zięba – Dzieje rodu Augustynowiczów ze Lwowa (część 1)
- 93 Sprawozdanie Zarządu Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego za okres kadencji 2022-2026